

Per Olof Sundman

Dwa dni, dwie noce

Przełożył Zygmunt Janowski

Pierwszy dzień

1

Jechałem na południe drogą wiodącą obok dwóch wielkich jezior. Byłem sam. Zaczęło się już przejaśniać.

Jeziora były czarne. A raczej szare jak pociemniały ołów.

W nocy i poprzedniego wieczora padał śnieg. Ziemia była zamarznięta i głęboko ścięta mrozem, tak że śnieg zaległ, nie stopniał.

Od dawna panowało zimno, co najmniej od tygodnia - w dzień parę stopni poniżej zera, w nocy od pięciu do dziesięciu.

Jeziora, w każdym razie te największe, nie były zamarznięte. Bo nie wystarczy tylko mróz, by wytworzył się lód. Musi być też zacisze, nie może wiać.

Moja żona nie lubi miejscowości, w której mieszkamy. Jest to wprawdzie przyjemna wieś, prawdziwa norrländzka wieś parafialna, mająca ponad siedmuset mieszkańców, ze spółdzielnią i prywatnym sklepikiem spożywczym, urzędem pocztowym i szkołą dla niższych funkcjonariuszy kolejowych, sklepem z obuwem, sklepem żelaznym, kinem, urzędem gminnym, domem parafialnym, pływalnią, przychodnią dentystyczną, lekarzem powiatowym, izbą chorych, domem starców, pięćoma stacjami benzynowymi, skromnym hotelikiem, jednym fryzjerem męskim i dwoma damskimi - dwaj ostatni określają swe zakłady jako „salony fryzjerstwa damskiego”.

Kino daje czasem dwa, a czasem trzy seanse w tygodniu, w soboty i niedziele, a niekiedy także w środy.

Moja żona jednak nie lubi tej wsi.

Tu wieje, powiada. Tu zawsze wieje. Wiatr jest zimny. Przez pół roku zima, powiada, a przez resztę roku wieje zimny wiatr.

To przesada, jasne, że przesada, mawia moja żona, Tylko ten przeklęty zimny wiatr!

Jechałem więc na południe wzdłuż dwóch wielkich jezior. Już się przejaśniło, późno wybrałem się w drogę.

Przedemną przejechało tędy wiele samochodów: na śniegu, który spadł w nocy, widać było ślady opon. Późno się wybrałem.

Nocny śnieg częściowo utrzymał się na świerkach, mimo wiatru. Jednak po drugiej stronie jezior las był ciemny i czarny pomiędzy dużymi, białymi wyrębami. Lśnił czernią, jeśli można mówić o czymś, że lśni czernią.

Mimo że wybrałem się w drogę późno, wyglądało, iż ludzie śpią jeszcze w tych nielicznych zagrodach, które mijalem po drodze. Nie widziałem żywej duszy ani nawet dymu z komina.

Przejechawszy mniej więcej pięć mil skręciłem z gościńca na małą leśną drogę. W miejscu, gdzie skręciłem na tę małą leśną drogę, przebiega swoista granica klimatyczna.

Używam słów „granica klimatyczna” z wszelkimi zastrzeżeniami. Jestem nauczycielem, a nie meteorologiem. Ale akurat na tym rozdrożu głębokość śniegu zwiększała się z dziesięciu centymetrów do ponad jednej stopy.

Droga nie była przetarta przez pługi. Większa głębokość śniegu nie sprawiała mimo to żadnych kłopotów. Co najmniej dziesięć innych wozów przejechało tędy przede mną.

Może to błąd mówić w związku z tym o „klimacie”, może powinienem raczej użyć słowa „mikroklimat”. Ale, jak już wspomniałem, nie jestem meteorologiem.

2

- Musisz brać w tym udział? - zapytała moja żona.

- Tak - odparłem.

Moja odpowiedź była stanowcza i ostateczna. To było wczesnym rankiem.

Siedziała naprzeciw mnie, po drugiej stronie stołu. Musiałem odpowiedzieć stanowczo i definitywnie. Chciałem uniknąć dyskusji z rodzaju tych, jakie zwykle z wielką złością prowokowała.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo już obiecałem.

- Kiedy, u licha?

Piliśmy kawę, było bardzo wcześnie.

Ocknęła się, gdy zadzwonił budzik. Uniosła się na łóżku, wykrzyknęła, przechyliła się nade mną jeszcze nie całkiem rozbudzona.

- Połóż się - powiedziałem. - Spij!

Położyła się znowu.

- Co to? - zapytała.

- Spij, śpij - odpowiedziałem.

Po omacku poszedłem do łazienki, stanąłem w wannie i zrobiłem sobie prysznic - najpierw ciepły, potem chłodny, a na końcu zimny.

Stała nagle w drzwiach łazienki.

- Musisz iść z nimi? - zapytała.

Miała na sobie tylko krótki nocny kaftanik i była bardziej naga, niż gdyby nie miała tego kaftanika na barkach i ramionach.

- Tak - odparłem.

Moja żona jest dość wysoka, taka wysoka jak ja. Jest wąska w biodrach, a jeszcze węższa w talii. Ma ładne nogi - takie jakie ogólnie przyjęte jest uważać za ładne nogi kobiece. Lubię patrzeć na nią, jak siedzi w wygodnym fotelu z nogą założoną na nogę.

Stała w drzwiach łazienki mocno wpierając obie stopy w podłogę.

Ma bardzo jasne włosy.

- Kiedy wróciłeś do domu tej nocy? - zapytała.

- Późno - odparłem.

- Co robiłeś? Gdzieś się podziewał? Kiedy wróciłeś do domu? O której godzinie? Czy musisz iść z nimi? Musisz?

- Byłem u Karla Olofssona - odpowiedziałem. - Zrobiło się późno.

Gdy szedłem ku drzwiom łazienki, cofnęła się szybko małymi, pospiesznymi kroczkami.

Ubierając się słyszałem, jak krząta się w kuchni.

Nim skończyłem się ubierać, ugotowała już kawę, zastawiła filiżanki, śmietankę i cukier, masło i sucharki.

- Plecak spakowałeś w nocy - stwierdziła.

- Tak - odrzekłem.

Siedziała naprzeciw mnie po drugiej stronie stołu.

- Nie zimno ci? - zapytałem.

Mieć na sobie tylko cienki kaftanik nocny to znaczy być bardziej nagim, niż gdyby się nic na sobie nie miało.

- Nie!

Obeszła stół, stanęła blisko mnie.

- Dlaczego musisz iść z nimi? - rzekła.

Stała szeroko rozstawiwszy nogi.

- Bo obiecałem - odparłem.

- Ten cholerny Karl Olofsson - powiedziała dość spokojnie.

3

Oboje jesteśmy nauczycielami, moja żona i ja. Co do mnie, to jestem, by się tak wyrazić, nauczycielem od wszystkiego i opiekuję się klasami średnimi.

Moja żona jest nauczycielką w klasach najwyższych.

Jeden z tych etatów jest wyżej zaszeregowany w siatce płac niż drugi, ale trudno powiedzieć,

który z nich wymaga większej pracy, większego zaangażowania.

- Rozmawiałeś z kierownikiem szkoły? - zapytała. Zawsze mówi o nim „kierownik szkoły”, nigdy po prostu „kierownik”. Kierownik nazywa się Nils Bertilsson. Nie pamiętam, by kiedykolwiek - mówiąc o nim - nazwała go Bertilssonem lub Nilsem, mimo że niezależnie od stosunków służbowych są zażyłymi przyjaciółmi od wielu lat.

- Ty z nim pomówisz - odrzekłem.

- Ja?

- Tak, ty.

I tak przecież była sobota i moja klasa miała tylko trzy lekcje.

- Muszę ruszać w drogę - powiedziałem.

- Ten cholerny Karl Olofsson - rzekła.

4

Nie przetarta pługiem leśna droga była wąska i kręta i wspiwała się pod górę. Biegła wzdłuż jeszcze jednego kompleksu małych jezior. Po tej stronie jezior znajdowały się wielkie wyręby. Lasy po drugiej stronie były jeszcze nie tknięte - jako położone dalej od drogi były trudniej dostępne.

Mimo wielkich wyrębów krajobraz robił wrażenie pustkowia. Jechałem z dużą prędkością.

Miejsce zbiórki znajdowało się za ostrym zakrętem.

Dojechałem do zakrętu i wjechałem mniej więcej tak, jakbym wjeżdżał do miasta lub do wsi.

Na lewo od drogi spółka leśna urządziła duże składowisko drewna. Tam stała zaparkowana większość samochodów.

Rozniecono ognisko, wokół którego zebrało się co najmniej trzydziestu mężczyzn. Dym z ogniska wił się po drodze, ale równocześnie wzbijał się prosto w górę, czarniawy od mokrego drewna, zabarwiony ma białą od pary wodnej z mokrych szczap.

Wiatr nie dmuchał tu tak, jak niżej, w wielkiej dolinie, przy dwóch dużych i wąskich jeziorach.

Zahamowałem, zatrzymałem się, cofnąłem wóz na składowisko, zgasilem silnik i wysiadłem z samochodu. Przywitało mnie gwałtowne szczekanie pół tuzina psów.

Mężczyzna imieniem Assar zrobił kilka kroków w stronę mego wozu.

- Dopiero teraz przyjeżdżasz - stwierdził.

Nic nie odpowiedziałem.

Mężczyzna, który nazywa się Assar, miał na ramieniu starego remingtona.

Nie jest już młody, z pewnością zbliża się do sześćdziesiątki. Pracuje jako posługacz w izbie chorych i jest dosyć opasły.

Otworzyłem bagażnik samochodu i wyjąłem plecak, lornetkę, mapnik, aparat fotograficzny i karabin.

Przy ognisku stało pięć czy sześć imbryków z kawą.

Ktoś powiedział do mnie:

- Przyjeżdżasz za późno, Stenssan.

Odparłem:

- Niektórzy nie zdążyli nawet jeszcze napić się kawki.

Niebo było zaciągnięte chmurami, poranne światło ponure. Było zimno i padał lekki śnieg.

- Pieska pogoda - rzucił któryś z wielu otaczających mnie mężczyzn.

Podszedłem do Nilssona, policjanta.

- Nie myślałem, że przyjedziesz - rzekł.

- Nauczyciel stawia się zawsze - odparłem.

Patrzyliśmy na siebie.

Znam go od trzech lat. Jest mocno zbudowany, jak zapaśnik lub bokser wagi ciężkiej. Zawsze mówi spokojnie, niemal cicho, nigdy nie podnosi głosu.

Nie cierpię go. To pyszałek, urodzony na waźniaka.

- Ach tak - bąknął obrzucając mnie wzrokiem od stóp do głów. I dodał:

- Dobrze mieć lornetkę i mapę...

- Tak - przytaknąłem.

- Ale kamera - powiedział wyciągając dłoń w moją stronę.

Cofnąłem się o krok, żeby uniknąć dotyku jego palców.

- Na co ci ta kamera? - zapytał.

Odziany był w długi, zielony płaszcz od deszczu, typu wojskowego.

- A taki płaszcz od deszczu dobrze mieć na zimnie! No nie? - odciąłem.

5

Potem odszedłem na bok.

Zbliżył się do mnie Karl Olofsson.

- Nie przypuszczałem, że się zjawisz - rzekł.

- Przecież umówiliśmy się - odparłem.

Ma szeroką, okrągłą twarz, a jego oczy zwązają się czasem w wąskie szparki.

- Wstawiłeś się wczoraj wieczorem - powiedział - albo raczej w nocy. Nieźle się wstawiłeś.

Mało kto potrafi się tak życzliwie uśmiechać, jak Karl Olofsson.

- Czyżby?

Spojrzał na zegarek. - Niewiele godzin miałeś, żeby się wyspać - dodał.

Może i nie tak znów wiele.

- Stać mnie na więcej, niż przypuszczasz - odrzekłem.

Karl Olofsson wskazał głową w stronę policjanta.

- On musi zawsze wszystko tak cholernie organizować. Mapa i kompas.

Wielkie plany. Szczegółowe...

- To już taki typ.

- Do licha, masz rację.

Podszedłem do ogniska. Jak już wspomniałem, siedziało tam lub stało wokoło co najmniej trzydziestu mężczyzn. Znałem niemal wszystkich z widzenia. Skinąłem głową na przywitanie, a oni kiwali do mnie głowami, któryś powiedział wyraźnie „cześć”.

Nikt się nie uśmiechał, wszyscy byli poważni. Psy szczekały i szarpały się na smyczach.

Nie potrafiłbym sporządzić spisu nazwisk zebranych tu mężczyzn, co najmniej trzydziestu: zawsze było mi trudno zapamiętać nazwiska. Jatwiej jest z twarzami, z wyglądem.

Tych, którzy mieli czyste, delikatne rysy twarzy, niemal ładne, można by policzyć na palcach. Większość miała twarze kościste, kanciaste. Kilka z nich dałoby się może mimo wszystko określić jako kanciasto piękne.

Były tam czoła szerokie i czoła wąskie; szerokie i niskie czoła i wąskie i niskie czoła; wysokie czoła, sklepione i niskie lub sklepione i wysokie. Nosy: szerokie, wąskie, krótkie, długie, wypukłe, wklęsłe. Niektórzy mieli cerę jasną, inni smagłą. Kilku miało zapadnięte skronie.

Były tam oczy małe, oczy duże, oczy wąskie, oczy lekko skośne. Niektórzy odwracali oczy, gdy się szukało ich spojrzenia, inni patrzyli przez cały czas w dół zбочa albo na swoje dłonie. Kilku miało mocne i pewne spojrzenie, nie unikające cudzego wzroku.

- Pieska pogoda - powiedział jeden z nich do mnie.

Był to drobny rolnik, właściciel paru morgów ornej ziemi i kilku hektarów nędznego lasu. Mieszkał w pobliżu wsi parafialnej i miał czworo dzieci, urodzonych w niemal dokładnie rocznych odstępach czasu. Wszystkie te dzieci były moimi uczniami.

Miał głuchy głos i był dość wysokiego wzrostu. Robił wrażenie człowieka pogrążonego w najgłębszym smutku. Kąciki ust zwiślały mu w dół, pod oczyma miał worki, kości dolnej szczęki kryły się w luźnych fałdach policzków, a brwi opadały ukośnie w dół w taki sam sposób jak kąciki ust.

Nie pamiętam jego nazwiska.

Miał na sobie deszczowiec, podobnie jak Nilsson, policjant. Ale płaszcz jego nie był zielony, był to staroświecki ceratowy płaszcz w lepkim żółtym kolorze.

- Taką samą pogodę mieliśmy ubiegłej jesieni w okresie polowań na łosie - odezwał się ktoś inny. - Zimno i śnieg, wietrzno. Pogoda pod psem.

- A potem przyszedł deszcz - dorzucił ten w żółtym deszczowcu.

- Dawniej bywało trochę inaczej - wtrącił jakiś inny. Trudno rozróżnić głosy, gdy wielu ludzi jest zebranych wczesnym rankiem wokół ogniska.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Poprzedniej jesieni...

- Tak?

- Zostały nam dwa byki.
- Nikt nie patrzył na tego, co mówił.
- O co ci chodzi? - zapytał Karl Olofsson.
- Inaczej bywało, gdy Olle kierował polowaniem.

Żółty deszczowiec zwrócił się do mnie:

- Nie o tobie mowa, tylko o tym gajowym.
- Wiem, rozumiem - odparłem.

Karl Olofsson wskazał głową w stronę policjanta:

- On musi zawsze tak cholernie wszystko organizować.

Gajowy z lasów państwowych, który przed paru laty dostał posadę nieco bliżej wybrzeża, był przez długi czas kierownikiem koła myśliwskiego, mającego prawo do polowania na terenach spółki leśnej, wszyscy członkowie koła mieszkali we wsi parafialnej.

Ten gajowy i ja, obaj mieliśmy to samo imię.

6

Nilsson, policjant, był zapalonym organizatorem. Liczni mężczyźni, którzy zebrali się we wczesnych godzinach porannych, podzieleni zostali szybko na małe grupy.

Kilku poszło dalej drogą na północny wschód, pieszo. Jedna z grup podążyła w tym samym kierunku samochodem do nieco dalej położonego punktu wyjściowego. Ponad dziesięciu pojechało w przeciwnym kierunku na różne inne punkty wyjściowe.

Samochodów było dużo. W niektórych z nich siedziało po dwóch, trzech mężczyzn, ale przeważnie tylko jeden.

Silniki rozgrzewały się, koła ślizgały się w świeżym śniegu, wyrzucając w powietrze wirujące białe tumany.

- On musi zawsze wszystko tak cholernie organizować - powtarzał Karl Olofsson.

Na miejscu zbiórki zostaliśmy tylko my, stanowiący grupę Karla Olofssona.

Pięciu mężczyzn i pies. Karl Olofsson i ja. Assar, opasły posługacz z izby chorych. Drobnny rolnik w żółtym deszczowcu, o głuchym głosie i melancholijnym wyglądzie. Piątym był jakiś młodzik, może siedemnastoletni, może dziewiętnastoletni, ale na pewno nie starszy. Milczący i nerwowy, trudno mu było ustać spokojnie. Nie znam jego nazwiska, ale mówiono do niego Zadra.

To żółty deszczowiec był właścicielem psa - suchego i krępego psa jumtlandzkiego o bujnym, wywiniętym w górę ogonie, tępym nosie, wylupiastych oczach, wywieszonym jęzorze i szybkim oddechu.

Staliśmy na środku drogi czekając, aż zostaniemy sami. Odgłos samochodów zamierał.

Wciąż jeszcze był ranek. Padał lekki śnieg. Chmury całkowicie zakrywały niebo, wydawało się, że chmury leżą tak nisko, iż dotykają wierzchołków świerków, naturalnie było to tylko złudzenie.

- Całkie jak na zeszłorocznym polowaniu - powiedział Assar zarzucając sobie plecak.

Powiedział „całkie”, a nie „całkiem”. Dobór słów może być interesujący dla tych, których podobnie jak mnie bawią różne dialekty.

- Cholernie zimno i wilgotno - dodał żółty deszczowiec.

Pies rwał się na smyczy.

Staliśmy na środku drogi i Karl Olofsson patrzył na nas badawczo.

- No to co, ruszamy w drogę, chłopaki? - zapytał.

- Dość się już namarziliśmy - odezwał się młodzik i podszedł do przydrożnego rowu. Tam przystanął i odczekał, aż go wyminiemy.

Pierwszy szedł Karl Olofsson, potem ja, następnie Assar, za nim żółty deszczowiec z psem, a na końcu niecierpliwym młodzik, którego nazywano Zadrą.

7

Podejście było strome.

Najpierw szliśmy wzdłuż strumyka, w którym było więcej wody, niż się tego można było spodziewać po ostatnich chłodach i mrozach.

Karl Olofsson szedł szybko miękkiem i długim krokiem, kołysząc miarowo górną częścią tułowia.

Przez pierwsze dwadzieścia minut czy pół godziny miałem duże trudności z nadążaniem, oddychałem ciężko i bolały mnie mięśnie nóg.

Mimo to powstał odstęp między mną i Assarem z izby chorych. Był nieco otyły, zaczynał się starzeć: zsunął czapkę z czoła, pot spływał mu po policzkach.

Kiedyś, dawno już temu, zbudowano obok strumyka rynnę do spławiania.

Podtrzymujące ją słupy zgniły i zmurszały, deski leżały na ziemi, częściowo przykryte śniegiem.

Zrobiliśmy pierwszy postój na małej kamienistej półce, między głazami porośniętymi niewielkimi krzakami jałowca.

- Jak to sobie ułożymy? - zapytałem Karla Olofssona.

- Zobaczymy - odparł, zanim pozostali trzej dołączyli do nas. Zapalił fajkę. - No i jak się czujecie? - zagadnął.

- Dobrze - odparł Assar i usiadł na kamieniu.

- Byle tylko człowiek złapał drugi oddech - rzekł Zadra.

Karl Olofsson uśmiechał się, ssał fajkę, przyglądał się psu, który należał do mężczyzny w żółtym deszczowcu.

- Myślisz, że będziesz miał jakiś pożytek z tego kundla? - zapytał.

Właściwie nie było to nawet pytanie.

- Dobry jest - odparł żółty deszczowiec. - Mam go już trzy lata.

- Ja zostawiłem mego psiaka w domu - rzekł Karl Olofsson. - Na taką pogodę...

Młodziak, którego nazywano Zadra, wcisnął się między mnie i Assara. - Jest chyba jakaś różnica między psem a psem, do licha - powiedział.

Ton jego głosu był niemal agresywny.

- W taką pogodę - mruknąłem.

- Właśnie taki śnieg nadaje się do tropienia.

- No i co?

- Za godzinę może padać deszcz - dorzucił zrzędlawie.

Nigdy nic nie wiadomo w listopadzie. Może być zimno i chłód może się utrzymywać aż do głębokiej zimy, ale też łatwo może całkiem nagle ustąpić miejsca ciepłym wiatrom golfstromowym i ulewnym deszczom.

Mężczyzna w żółtym deszczowcu przysiadł i głaskał psa po głowie.

- Nazywa się Ajaks - oznajmił - ale ja na niego wołam Jackson.

Psy są równie chciwe pieszczoty jak kobiety, lubią, by głaskać je po głowie, karku i grzbiecie, drapać lekko między przednimi łapami albo za uszami.

Mężczyzna w żółtym deszczowcu powiedział: - Raz spróbowałem sprawdzić, jak długo to można robić. Ile czasu minie, zanim to go zmęczy.

Siedziałem słuchając radia i cały czas go drapałem. Wcale mu się nie sprzykrzyło. Zasnął. A wtedy przewrócił się, ocknął od upadku, podniósł się i chciał, żebym dalej drapał go za uszami. Nigdy mu się te igry nie przykrzą.

Użył tu słowa „igry”, co jest zwrotem gwarowym.

To dobre słowo. Spokrewnione z małością. Można kochać kobietę. - Ale nie zawsze jest to miłość. Całuje się kobietę, pieści jej piersi i biodra, dotyka jej ud, a wszystko to można robić, choć miłość nie wchodzi w grę. To tylko „igry”.

Assar podszedł do zmurszałej rynny do spławiania, wypróbował deski swoim ciężarem, odrzuciwszy nogą śnieg.

- No i co? - zapytałem.

- Jeszcze nigdy tutaj nie byłem - powiedział.

- Nie?

- Ale mój tata tu pracował i budował to urządzenie.

- Kiedy to było?

- Gdzieś w latach osiemdziesiątych - odparł - czy coś koło tego.

- Osiemdziesiąt lat temu?

- Do licha - powiedział posługacz z izby chorych i wcisnął czapkę na czoło.

- Zawsze dobrze mieć psa - odezwał się Zadra. - Ozy zimno, czy ciepło, czy śnieg utrwała tropy, czy też pada deszcz.

- Tak, tak - bąknął Karl Olofsson.

Poszliśmy dalej.

Karl Olofsson szedł szybko miękkim, długim krokiem, kołysząc miarowo górną częścią korpusu. Zdjął z głowy czarną wełnianą czapkę i wsunął ją pod lewy rzemień plecaka.

Przechodziliśmy obok licznych bagien i bagnistych łązek. Gęsty świerkowy las nie był już gęstym świerkowym lasem. Przerzedził się, świerki zrobiły się niższe i bardziej nastroszone.

Wspięliśmy się wysoko. Gdyby widoczność nie była taka kiepska, moglibyśmy mieć widok na dolinę i jeziora położone za nami. Wokoło pojawiało się coraz więcej brzoź o niskich pniach i sękatych, powykęcanych gałęziach.

Szliśmy przez gęste zarośla iwy i wierzbiny, poprzedzielane bagienkami i ich odnogami. Spod śnieżnej pokrywy wystawały paprocie, wysoka trawa i sztywne łodygi ziół.

- Jak to sobie ułożymy? - zapytałem.

Karl Olofsson uśmiechnął się do mnie szeroko.

Weszliśmy na wzgórze nad strumieniem, Olofsson zsunął się ze stoku zjeżdżając na obcasach. Był tam na dole stary most.

- Tu - powiedział Karl Olofsson.

Staliśmy przy południowym przyczółku mostu.

Karl Olofsson zwrócił się do Assara, mężczyzny w żółtym deszczowcu i młodzika, którego nazywano Zadra.

- Wy trzej - powiedział - wy trzej pójdziecie na drugą stronę a potem dalej na północ... - I dodał wyjaśniająco: - A więc na drugi brzeg strumyka. A my, my obaj, pójdziemy dalej po tej stronie strumyka. Olle Stensson i ja. - Wskazał z pewnym wahaniem na Assara, Zadrę i mężczyznę w żółtym deszczowcu. - Wy trzej - powtórzył.

Przez długą chwilę było cicho. Potem żółty deszczowiec powiedział swym spokojnym, głuchym głosem:

- Przecież nie było mowy o tym, żebyśmy się mieli rozstawać, żeby się rozdzielać.

Karl Olofsson odparł:

- Nas jest dwóch, a was trzech.

A ja dorzuciłem:

- Poza tym wy macie psa. A zawsze jest przecież dobrze mieć z sobą psa.

Mężczyzna w żółtym deszczowcu, którego nazwiska nie pamiętam, miał zupełną rację. Nie było mowy o tym, żebyśmy się mieli rozstawać. Ale Karl Olofsson i ja zgodni byliśmy co do tego, że będziemy się trzymać we dwóch tylko.

- Macie przecież tego kundla - powiedziałem do mężczyzny w żółtym deszczowcu.

- Ale nie było mowy o tym, żebyśmy się mieli rozstawać - powtórzył tamten.

Było to między godziną dziesiątą a pół do jedenastej przed południem.

Zadra, ten młodzik, odezwał się:

- A gdzie wy pójdziecie? Gdzie chcecie iść?

Karl Olofsson zrobił niepewny gest w górę, na wschód lub północny wschód.

- Gdzieś w tym kierunku - odparł.

- Gdzie? Gdzie? Określ to bardziej dokładnie.

Karl Olofsson wzruszył ramionami.

- Gdzieś w tamtą stronę - powiedział.

Pamiętam później, że byłem zdziwiony jego niepewnością, tym wzruszaniem ramionami i mglistymi wzmiankami, ograniczającymi się tylko do niejasnych określeń: gdzieś w tamtą stronę.

- Boisz się? - zapytałem Zadrę. - Zdenerwowany jesteś? Nas jest dwóch, a was trzech. No i macie psa.

Splunął na zbocze, poprawił sobie plecak na grzbiecie.

- Cholera! - zaklął. - Strzelam, gdy tylko usłyszę, że coś szeleści w krzakach!

Przecisnął się koło mnie i Karla Olofssona. Mężczyzna w żółtym deszczowcu i Assar, posługacz,

poszli z pewnym ociąganiem w ślad za nim.

Przeszli przez most, który właściwie nie był już mostem, tylko kładką z porozłupywanych pni, uginających się pod ich ciężarem.

Staliśmy przez chwilę i patrzyliśmy, jak znikają wśród drzew.

Karl Olofsson powiedział:

- Nie lubię tłoku.

- Tłoku?

Uśmiechnął się do mnie przelotnie, szerokim uśmiechem.

- Chodzi mi o to, że nie powinno nas być zbyt wielu, za wielu. Rozumiesz? Wystarczy dwóch, ty i ja. No nie rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiałem. Dwóch może często wystarczyć aż nadto.

- Przecież tak właśnie umówiliśmy się - dorzucił.

- Kiedy?

- Ubiegłej nocy - rzekł. - Albo wczesnym rankiem, ściśle mówiąc.

- Wyglądało, jak gdyby się bali - powiedziałem. - Assar i tamci dwaj.

- Byłeś na bańce - mówił Karl Olofsson. - Pijany jak bela. Nie myślałem, że stawisz się dziś rano.

Uśmiechnął się znowu, a ja musiałem się roześmiać.

- Dwóch wystarczy, w sam raz - stwierdził.

Czasem wystarczy samotny mężczyzna. Nieczęsto, ale czasem.

- Cholera, jak ten Zadra się nadał - ciągnął Karl Olofsson. - Widziałeś, jak objął dowództwo?

- Czyżby?

- A przecież jest z nich najmłodszy. Assar mógłby być jego dziadkiem.

- Nie objął dowództwa - odparłem. Karl Olofsson zarzucił karabin na ramię i zaczął wchodzić na zbocze. - Nie objął dowództwa - dodałem. - Poszedł tylko pierwszy. Tyle tylko, że poszedł przodem.

10

Szliśmy dalej w górę strumienia, przeważnie na wschód i północny wschód. Karl Olofsson szedł pierwszy długim, miękким krokiem, kołyszac miarowo górną częścią tułowia.

Swoją szydełkową czarną czapkę wełnianą wcisnął mocno pod jeden z rzemieni plecaka; szedł z gołą głową. Wkrótce po opuszczeniu przez nas miejsca przy moście, gdzie się podzieliśmy, zaczął padać gęsty śnieg.

Wiatr zelżał. Karl Olofsson nie odzywał się słowem, nie przystawał, szedł dalej w równym, spokojnym tempie. Kroczyłem tuż za nim.

Należał do tego typu ludzi, którzy rzadko albo nigdy nie patrzą w ziemię przed siebie. Jego wzrok, wraz z ruchem głowy, przenosił się z lewa na prawo, z prawa na lewo i znów z powrotem na prawo, znów z powrotem na lewo. Śnieg padał ciężkimi płatami. Co wskazywało na wzrost temperatury. Im zimniej, tym mniejsze płatki śniegu; im bardziej podnosi się temperatura, tym większe i cięższe stają się spadające płaty.

Tempo marszu Karla Olofssona było spokojne, ale szybkie. Mój plecak był dosyć ciężki. Jakkolwiek zdarzało mi się już dawniej nosić o wiele większe ciężary, zrobiło mi się gorąco i spociłem się. Człowiekowi zgrzanemu i spoconemu nie tak łatwo osądzić, czy temperatura rośnie, czy nie.

Karl Olofsson zatrzymywał się od czasu do czasu, oglądał się za siebie to przez lewe, to przez prawe ramię. Jego plecak, barki i krótko ostrzyżone, lekko kędzierzawe włosy pokrywał biały śnieg.

- Nadażasz? - zapytał nie zatrzymując się.

- Idź do diabła - odburknąłem.

Możliwe, że śmiał się w duchu. Szedł dalej nie zwalniając tempa, ale też nie przyspieszając. Trzymałem się blisko niego. Zależało mi na tym, żeby odstęp między nami nie był dłuższy niż najwyżej pięć kroków. Mijaliśmy wiele małych bagien i bagnistych łączek. Świerki stawały się coraz bardziej nastroszone. Zwiększała się liczba brzoź. Brzoź o niskich pniach i powykręcanych sękatych gałęziach. Szliśmy pod górę. Zostawiliśmy za sobą strumień, a raczej rzecz miała się tak, że stopniowo przestawał być strumieniem, rozgałęział się na strumyki, strużki i inne ukryte pod śniegiem dopływy.

- Nie jesteś zmęczony? - zapytał nie zatrzymując się.

Nie mogę sobie przypomnieć, co odpowiedziałem. Po prostu nie pamiętam, co odpowiedziałem.

11

Karl Olofsson zatrzymał się nad brzegiem małego zamrożonego jeziora tuż obok świerkowego zagajnika. Zrzucił plecak i zdjął karabin. Usiadłem na zwałonym drzewie. Wiele świerków było uschłych i martwych. Karl Olofsson nałamał gałązek i gałęzi.

- Zmęczyłeś się? - zapytał.

- Nie bardzo - odparłem. - Ale ty jesteś jeszcze mniej zmęczony - dodałem.

Byliśmy rówieśnikami, Karl Olofsson i ja. On jednak był fizycznie bardziej wytrenowany niż ja; pozostawało to w związku zarówno z jego zawodem, jak i z moim.

Zapłonęło małe ognisko. Ugotowaliśmy kawę. Miał w plecaku suszony udziec barani. Ja zabrałem pół tuzina dużych kanapek z serem i gotowaną kiełbasą.

- W odkrawaniu kawałków suszonego udźca baraniego jest coś romantycznego i trochę komicznego zarazem.

- Tak mówisz? - bąknął.

- Tak.

- Lubię baraninę - rzekł.

Była wtedy godzina druga. Musieliśmy zrobić co najmniej dwanaście kilometrów od chwili, gdy rozstaliśmy się z tamtymi trzema, jeśli przyjąć, że piechur może w takim terenie, o jakim tu mowa, robić mniej więcej cztery kilometry na godzinę.

- Chcesz kanapkę z serem? - zapytałem.

- Nic się nie może równać ze zwykłym uczciwym suszonym mięsem - odparł.

12

Nasz postój nad tym małym jeziorkiem był nie tylko postojem na posiłek, ale również postojem wypoczynkowym.

Karl Olofsson wsadził udziec barani do plecaka, rzucił na ogień grubą wiązkę suchych gałęzi, wypił łyk kawy, wyciągnął się jak długi na wznak, splótłszy dłonie pod karkiem, patrzył w górę na przesłonięte mleczną mgiełką niebo, uśmiechał się do mnie - szerokim uśmiechem na okrągłej twarzy.

Później, wkrótce potem, twarz jego spoważniała.

- On musi zawsze wszystko tak cholernie organizować - odezwał się.

- Kto taki?

- Nilsson. Ten policjant.

- Organizować?

- Tak - powiedział Karl Olofsson leżąc na plecach na śniegu.

- Tak cholernie organizować?

- Tak.

Uśmiechnął się znowu do mnie z na wpół przymkniętymi oczyma, dłonie wciąż miał splecione pod karkiem. Po chwili odezwał się znowu:

- Właściwie nic mu nie można zarzucić.

- Tak mówisz?

- Hm. Jeśli pomyśleć o ubiegłej jesieni - powiedział i zaczął zdmuchiwać płatki śniegu, które spadały mu na nos, oczy i usta.

- Co masz na myśli?

- To jasne - odparł - i ty wiesz, jak to jest. Jestem pewien, że poluje na łosie co roku od chwili, gdy został konfirmowany.

- Mów dalej - wtrąciłem.

- W kółku myśliwskim nikt go nie poprosił, żeby został łowczym po gajowym, który się stąd wyprowadził.

Wyjąłem fajkę, zapaliłem i dmuchnąłem dymem w jego stronę.

- Mów dalej - powtórzyłem raz jeszcze.

- Bo widzisz, on jest z południa. Z Vestergetland, zdaje mi się. Wiesz, jak oni tam polują. Nagonka i myśliwi. Dwunastu z nagonki na jednego myśliwego. Ci siedzą tylko i czekają, piją kawę i wódę. A naganiacze odwalają całą robotę. Ci, co mają strzelać, siedzą tylko i czekają. Czasem dwudziestu z nagonki na jednego strzelca. Cholera wie ilu.

- Tak - powiedziałem. - Albo i nie.

Dmuchałem mu dymem w twarz, aż zaczął szukać swojej fajki.

- Powinien się nauczyć słuchać mądrzejszych od siebie - powiedział Karl Olofsson.

Miał w sobie coś z psów doświadczalnych Pawłowa. Mówił dalej, pogrążony w myślach, uniósł się, by pogrzebać w kieszeniach, wyłowił fajkę, tytoń i zapalki, wyraźnie nieświadomy tego, co robi.

- Mądrzejszych od siebie?

- Bo tutaj jest inaczej niż w Vestergetland - ciągnął. - Przecież ty tam byłeś. - Nabił fajkę tytoniem. - Lasów na przykład tam jest mniej.

- O wiele mniej - odparłem. - Lasy w Vestergetland są niewiarygodnie małe. - I dodałem: - Człowiek ze Skanii mógłby może zabłądzić w lesie w Vestergetland, ale nie mieszkaniec Norrlandii.

Wybuchnął śmiechem.

A ponieważ miał płuca pełne dymu tytoniowego, gdy zaczął się śmiać, śmiech jego przeszedł w krótką, lecz gwałtowny atak kaszlu.

- Tutaj jest trochę inaczej - powtórzył.

- Pod jakim względem inaczej?

- Myślę o odległościach - rzekł.

Osunął się na ziemię przybierając wygodną pozycję, ale wilgoć i chłód musiały przenikać przez drelichowe spodnie, pewnie też zaczęły mu marznąć nogi w gumowych butach, śnieg wciskał się pod impregnowaną wiatrówkę i topniał w wodę, spływającą mu po grzbiecie.

- Tutaj jest inaczej - powiedział.

- Jak to?

- Odległości. Mila za milą. Bagno za bagnem. Góra za górą. Grzbiety pokryte lasem. Płaskowyzę. Równiny. Wzgórza. Skały. Strumienie. Wąwozy. I mila za milą ani jednej chatynki, ani jednego szałasu, żadnej drogi czy choćby tylko ścieżki.

- Tak, tak.

- Ryb jest sporo w wielu jeziorach - dorzucił.

- Tutaj nie ma sensu polowanie z nagonką - odezwał się po chwili.

Ssał fajkę, obejmując dłonią jej główkę; leżał na wznak, kark opierając na drugiej dłoni.

Odległości, te duże odległości.

- Mila po mili - mówił - bagna i wzgórza, strumienie, rzeki, góry, w dół i w górę.

Na każdym pagórku rosną rosochate świerki i równie rosochate, powykręcane sosny. Wokół każdego niemal strumienia nieprzebyte zarośla brzoza i jarzębiny, i iwy, i wierzbiny. I tyle tej wody! Małe jeziora i większe jeziora, małe jeziora i większe jeziora, przeważnie wąskie, podłużnego kształtu.

- Rozumiesz, Olle - dorzucił - leżąc na plecach i pozwalając płatkom śniegu topnieć na swojej twarzy - lepiej wprzód się zastanowić. I starać się wszystko wyliczyć. Tak jak myśmy to zrobili.

Tak, te odległości, te wielkie odległości. Oczywiście. Lepiej było wprzód się zastanowić.

Karl Olofsson podniósł się spieszenie, pozbierał swoje rzeczy i wpakował je do plecaka.

- Właśnie do takiego wniosku doszliśmy ubiegłej nocy - rzekł i zaśmiał się, z fajką zwisającą z kącika ust. - Wstawiłeś się, chłopcze. Zapomniałeś już?

Nogami nagarnąłem śnieg na ognisko i przydeptałem je.

- Czasem trzeba się namyślić, nałożyć drogi, wyprzedzić, zacząć się i czekać - ciągnął.

- Tak, tak.

- Nielicho się wstawiłeś - powtórzył.

Mam wyjątkowo dobrą pamięć. Mimo to nie przypominam sobie, o czym my obaj, Karl Olofsson i ja, dyskutowaliśmy poprzedniego wieczora i w nocy.

Naturalnie przypominam sobie pewne fragmenty, ale nie całą dyskusję z wszystkimi szcze-

gólami. Zresztą nie była to w pełni dyskusja, raczej długa i dość chaotyczna rozmowa.

Jego żona nazywa się Marie. Jest smuklejsza od mojej żony i o piętnaście lat młodsza od swego męża. W ten sposób jest też o piętnaście lat młodsza od mojej żony. Włosy jej są tego koloru, który po francusku i w jej paszporcie określa się jako blond fonce. Są krótko ostrzyżone. Oczy ma ciemnoszare. Na jej powiekach tuż przy nasadzie nosa znajduje się napinająca je fałdka. Jest tylko słabiotko zaznaczona, trzeba dokładnie się przyjrzeć, żeby ją odkryć, ale nadaje to jej oczom szczególny, niemal mongolski, migdałowaty kształt. Przy powitaniu uścisk jej dłoni jest mocny. Nie jest taka skora do śmiechu i uśmiechania się jak Karl Olofsson. Jest bystra w myśleniu i zastanawianiu się.

Dużo czyta.

Imię Marie wymawia się, jak gdyby końcowe „e” było dźwięczne.

- Musicie trochę się przespać - orzekła - i ty, i Kalle.

Karl Olofsson siedział na kanapie. Nie usiłował wstać, rozluźnił tylko krawat i pasek i podciągnął nogi.

- Jest już po północy - powiedziała.

- Mniej więcej za sześć godzin - odezwał się Karl Olofsson. - Już tylko niespełna sześć godzin.

Odwrócił się na wznak, wyprostował nogi, ułożył się wygodniej, założywszy dłonie pod kark, spojrzął w sufit i zaraz potem zamknął oczy.

Pamiętam, że trudno było mi stać spokojnie, i pamiętam, że kroki miałem niepewne.

Karl Olofsson leżał na kanapie z zamkniętymi oczyma.

- Już niedługo pierwsza - bąknęła Marie.

Stałem przy drzwiach wyjściowych. Wisiała nad nimi podkova.

- Ta podkova wisi nie tak jak trzeba. Powinna być skierowana otworem w górę - stwierdziłem zwracając się do Marie.

Na prawo od drzwi Karl Olofsson przybił gwoździami brzydkie futro rosomaka, niemal czarną, kudłatą, poszarpaną śrucinami od postrzału z bliskiej odległości skórkę. Na lewo od drzwi wisiały dwie pułapki na lisy. Były zardzewiałe, takich pułapek nie wolno używać.

- Musisz się trochę przespać - powiedziała.

Nie mają dzieci, Karl Olofsson i ona.

Lubię jej ciemnoblonde włosy i jej po mongolsku migdałowe szare oczy.

- Zasnął - dodała.

Pocałowałem ją, odwzajemniła pocałunek otwartymi ustami i ruchliwym językiem. Gdy przechyliłem ją w tył, podniosła nogę ruchem rozdzielającym uda. Czytałem gdzieś, że jest to typowo kobieca reakcja, i zwróciłem na to uwagę już wiele razy przedtem.

Ubrana była w szeroką dziewczęcą spódnicę, miała kanciaste biodra i szczupłe twarde uda. Trudno mi było stać w tej pozycji. Oparłem się o zamknięte drzwi wejściowe.

- On zasnął - szepnęła.

14

Opuściliśmy miejsce postoju.

- Czasem trzeba się wprzód zastanowić - powiedział Karl Olofsson.

- Nawet nie wiesz, ile masz słuszności - odparłem.

- Nałożyć drogi, wyprzedzić, zacząć się i czekać.

- Jesteś chytry jak lis. Prawie taki chytry jak nauczyciel ludowy.

15

Karl Olofsson szedł przede mną długim, miękkim krokiem, kołysząc miarowo górną częścią tułowia. Padał śnieg. Płatki śniegu były duże i ciężkie.

Karl Olofsson szedł z gołą głową. Swoją czarną szyclekowaną czapkę wetknął mocno pod jeden z rzemieni plecaka.

Szliśmy pod górę. Od czasu do czasu przystawał i czekał na mnie. - Jesteś zmęczony? - pytał. Nigdy nie zdążyłem odpowiedzieć, bo już maszerował dalej.

Pokrywa śnieżna robiła się coraz grubsza - nie tylko z powodu śnieżycy, ale i dlatego, że wchod-

ziliśmy coraz wyżej, a więc w okolice, gdzie śnieg leżał już od kilku tygodni. Coraz ciężiej było iść.

Miałem buty z szerokimi cholewkami, śnieg wpadał do nich i ugniatał się wokół łydek i kostek.

Musiałem wysypywać śnieg z butów, ale nie mogłem zdjąć lewego buta bez pomocy, śnieg był zanadto zbity. Karl Olofsson kroczył dalej i zdążył zrobić może ze sto metrów, nim na niego zawołałem.

- O co chodzi? - odrzyknął w odpowiedzi.

- Musisz mi pomóc!

- No to przyjdź tutaj - wołał.

Wskazałem na mój na pół zdjęty but wyjaśniając, że to on musi przyjść do mnie. Sytuacja była komiczna. Staliśmy tak nawołując się nawzajem, dopóki nie przydreptał z powrotem. Gumowy but siedział jak przylepiony. Musiałem chwycić się pnia brzozy, gdy Karl Olofsson pociągnął, i obaj upadliśmy na plecy, gdy but wreszcie oderwał się od nogi.

Doprawdy śmieszny epizodzik.

Leżeliśmy obaj na grzbiecie w syrkim, głębokim po kolana śniegu. Karl Olofsson z moim gumowym butem przyciśniętym mocno do piersi. Ja z wysoko uniesioną stopą, bosą, gdyż zarówno pończocha, jak i skarpeta poszły razem z butem.

Trudno było nie śmiać się.

Nie znam nikogo, kto śmiałby się tak często i tak zaraźliwie, jak Karl Olofsson.

- Ależ ty pleciesz - zaśmiał się.

Wciągnąłem na nogę pończochę, skarpetę i gumowy but oczyściwszy je wpięrow i otrzepawszy ze śniegu.

- Masz za szerokie cholewy - orzekł.

Godzina była wtedy między trzecią i czwartą po południu i musieliśmy już zrobić co najmniej szesnaście kilometrów od chwili, gdy rozstaliśmy się z Assarem i tamtymi dwoma.

Zapaliliśmy fajki i siedzieliśmy przez chwilę pałac.

- On musi zawsze wszystko tak cholernie organizować - powiedział Karl Olofsson.

- Tak mówisz?

- Poza tym niezły chłop - dodał. Śnieżycą gęstniała. Mróz zelżał. Mogliśmy trochę posiedzieć nie marznąc zbyt.

- On mnie nie lubi - stwierdziłem.

- Kto taki?

- Ten, co zawsze musi tak cholernie wszystko organizować.

Karl Olofsson uśmiechnął się swoim zwykłym uśmiechem. Na krótko ostrzyżonych kędzierzawych włosach miał białą czapę ze śniegu. - Zdaje ci się tylko - powiedział. - Ot, pleciesz.

Nie, nie zdawało mi się, wiedziałem.

- On mnie nie lubi - powtórzyłem. - Nie wiem dlaczego. Jest policjantem, wiernym królewskim sługą w odległych wioskach na peryferiach kraju. A ja, czym ja jestem?

- E tam - powiedział Karl Olofsson i wstał z ziemi.

- Zastranym nauczycielem ludowym - dokończyłem i ująłem jego wyciągniętą do pomocy dłoń.

- Trzeba iść dalej - rzekł.

Otarł wilgoć z włosów i z twarzy.

- No to prowadź - odrzekłem.

Chodzi o to, żeby sobie to wyliczyć, nałożyć drogi, wyprzedzić, zacząć się i czekać.

- Jesteś chytry jak lis - rzekłem - niemal taki chytry jak nauczyciel ludowy.

16

Karl Olofsson szedł dalej pod górę, a ja kroczyłem tuż za nim.

Krótki odpoczynek pomógł, lżej oddychałem i łatwiej mi było podnosić wysoko stopy brnąc w śniegu.

Las przerzedził się. Świerki znikły, zastąpiły je jarzębie i brzozy, nie było tam nic, na czym oko mogłoby się zatrzymać. Nie można nawet było domyślić się, gdzie jest słońce. Śnieżycą przesłaniała wszystko niczym gęsta mgła, nie widać było ani wzgórz, ani gór. Szliśmy przez biały krajobraz pozbawiony horyzontów.

Mimo to wcale nie było trudno wybrać właściwą drogę. Karl Olofsson szedł po prostu w tę stro-

nę, gdzie stok był najbardziej stromy.

Dotarliśmy do działu wód.

- Zmęczonyś? - zapytał przez ramię nie zatrzymując się.

Przez dziesięć czy piętnaście minut szliśmy grzbietem góry, łańcucha niskich gór. Płasko, niemal jak na równinie. I brak tam było jakiegokolwiek innej roślinności prócz ukrytej pod śniegiem wikliny.

Karl Olofsson nie musiał się wahać przed wyborem kierunku. Na górze wiał słaby wiatr; płatki śniegu spadały nam na kark i lepiły się mocno do plecaków. Musiał to być wiatr zachodni i nam to wystarczało, by posuwać się na wschód.

Z wolna szlak nasz zaczął spadać w dół.

Napotkaliśmy najwyższe brzoze zarośla nowej doliny i niskie, lecz o prostych pniach jarzębie. Wkrótce potem otworzył się przed nami niespodziewanie rozległy widok na drugą dolinę. Była długa i rozciągnięta, dosyć szeroka, a zbocza miała strome. Na dnie doliny znajdowało się wąskie jezioro, częściowo pokryte lodem, w każdym razie nie zamrożone w górnej części, dokąd wpadała większość dopływów.

To było wszystko, co zdążyłem zobaczyć, nim widok skrył się za nowymi śnieżnymi chmurami. Jeszcze nigdy nie byłem na tym miejscu.

Schodzenie w dół trwało dłużej i było uciążliwsze, niż to sobie wyobrażałem. Stok przeobraził się w końcu w bardzo stromą, prawie pionową spadziznę, w niektórych miejscach mającą chyba ze dwieście metrów wysokości, i ciągnął się wzdłuż całego jeziora, a więc na przestrzeni co najmniej dwóch kilometrów.

Musieliliśmy zrobić obejście na południe, przez pół drogi stosując wspinaczkę, to znów zjeżdżając na piętach po zboczu, które wprawdzie nie było pionowe, ale mimo to tak spadziste, że stanowiło dla mnie zagadkę, iż jest gęsto porośnięte krzaczastym, dość gęstym lasem świerkowym.

Karl Olofsson skręcił później znowu na północ, weszliśmy w trudny teren pokryty skalistymi blokami, to małymi, to znów nieco większymi, przeważnie wielkości małego domu.

W pewnym momencie stopa ugrzęzła mi w zdradliwej dziurze. Trudno mi było wydostać się, zostałem w tyle, podbiegłem jego śladami, a on czekał na mnie oparty o skałę. Przyznaję, że czułem rozdrażnienie, iż oddycha spokojnie i cicho, stoi sobie i pali fajkę i wydaje się niemal całkowicie nie zmęczony szybkim tempem marszu. Wyjąłem lornetkę i skierowałem ją na jezioro i dolinę.

- Widzisz coś? - zapytał.

- Cholerne mnóstwo śniegu - odparłem. - Całkiem jak na bożonarodzeniowej widokówce.

Nie można było nic dojrzeć, widoczność najwyżej na odległość trzystu metrów, w takich warunkach nie ma prawie żadnego pożytku z lornetki.

- Zmęczyłeś się? - zapytał po raz nie wiadomo który z kolei.

- Chciałbyś, żebym był zmęczony? - odparłem.

- Zrobiliśmy daleką drogę - rzekł.

- Chodzi o to, żeby zastanowić się, co robić. Nałożyć drogi. Wyprzedzić. A potem zacząć się i czekać. No nie? - odpowiedziałem.

Roześmiał się.

- Nałożyć drogi przy takiej masie śniegu - dodałem.

- Człowiek robi, co może - odparł.

17

Nad jeziorem śniegu było mniej niż w górze. Dolina była nie zaludniona.

Leżała daleko od okolic zamieszkałych. Las miał tu niewielką wartość, był to prawdziwy las dziewiczy, w tej dolinie nigdy nie zwałono ani jednego drzewa.

Karl Olofsson maszerował szybkim tempem na północ, między jeziorem a stromym zboczem. Szedłem za nim. Dzień zaczął skłaniać się ku popołudniu, zbliżał się zmierzch. Od czasu do czasu Karl Olofsson zatrzymywał się i rozglądał, patrzył na jezioro, na stromy stok, w tył, za siebie.

Zwróciłem uwagę na wyraz jego twarzy w tych chwilach: zmarszczone czoło, trzy lub cztery wyraźnie zaznaczone fałdki między brwiami, na wpół otwarte, nieco wykrzywione usta.

Dolina była rzeczywiście odludna.

Na dziale wodnym, długim grzbiecie niskich gór, spotkaliśmy stadko renów, może ze trzydzieści

sztuk, i szlak nasz skrzyżował się z świeżym tropem łośia.

W dolinie, poniżej zbocza i urwiska, śnieg był nie tknięty. Nie widzieliśmy żadnych ptaków, nawet pardwy. Było bardzo cicho.

Doszliśmy do półki w terenie, ostro zarysowanej i wysokiej może na dziesięć metrów.

Za sobą mieliśmy stromiznę i spadzisty stok. Przed nami leżało nie zamarznęte jeszcze całkiem podłużne jezioro. Między urwiskiem i jeziorem rozciągało się dość duże bagnisko, rzadko porośnięte świerkami i brzożami.

- Tu! - oznajmił Karl Olofsson.

- O co ci chodzi? - zapytałem.

- Tu - powtórzył. - Gdzieś tutaj.

Zjechał na obcasach z wysokiego mniej więcej na dziesięć metrów, ostro zaznaczonego zewnętrznego skraju półki. Nieomal stracił przy tym równowagę i, by ją utrzymać, wymachiwał karabinem w powietrzu.

Powtórzyłem pytanie.

Karl Olofsson to człowiek małomówny. Można by go nazwać milczkiem i pozwolić temu sformułowaniu nabrać pozytywnego wydźwięku. Jest coś szczególnego w małomówności, coś pociągającego, nieomal coś pobudzającego i wartościowego.

Znam go dobrze.

Wiem, że jego małomówność nie jest cnotą wywalczoną, lecz narzuconą sobie koniecznością. Należy on do typu ludzi, którym trudno się wypowiadać, znajdować właściwe słowa, nawet gdy chodzi o dość prostą wymianę myśli lub rozmowę.

Przez chwilę staliśmy pod skalną półką.

Nie usiłowałem wydostać z niego, co miał na myśli mówiąc „tu” i „gdzieś tutaj”. Miałem niewyraźne wspomnienie, że dyskutowaliśmy o tym poprzedniej nocy.

- Zaczyna się robić za ciemno - powiedział.

- Dochodzi piąta - odparłem.

Wyjął z plecaka puszkę piwa i zrobił w niej nożem dwa otwory. Pociągnął kilka głębokich łyków, a potem podał ją mnie.

- Za ciemno się robi, by dalej poruszać się w terenie. Ale nie przejmujemy się. Poczekamy tutaj do jutra rana.

- Chcesz zostać tu na noc?

- Tak, do licha - odparł i wyciągnął rękę po puszkę z piwem.

18

Zbudowałem między dwoma kamiennymi blokami szalás dla osłony od wiatru. Ułożyłem między blokami suchą sosnę i oparłem na niej rzadką kratownicę ze szczap. Świerkowy las był, jak już mówiłem, rosochaty, a najniższe gałęzie drzew duże, bujne i gęste. Nie zabrało mi dużo czasu sporządzenie daszka nad konstrukcją ze szczap, a daszek uszczelnił się szybko w śnieżycy. Trochę dłużej trwało zebranie mniejszych gałęzi na podłogę szalásu.

Nie należy skąpić pokrycia na podłogę. Nigdy nie ma się za dużo miękkich gałęzi pod sobą.

Karl Olofsson zostawił mnie samego przy pracy.

Wszedł na bagno ze dwadzieścia kroków, przystanął, po czym poszedł dalej w kierunku górskiego urwiska. Nie było go z pewnością przez piętnaście minut; później wrócił tą samą drogą i pobrodził przez bagno aż do rzadkiego parawanu drzew nad brzegiem jeziora.

- Nie ma żadnych śladów - oznajmił. - Przyszliśmy tu pierwsi.

- Oczekiwałeś czego innego? - zapytałem.

Potrząsnął głową.

Potem spojrzął na moją budowlę. - Dobrze to zrobiłeś - pochwalił.

- Podobno zdrowo spać przy otwartym oknie - odparłem.

Ściemniało się szybko.

Karl Olofsson powrócił z pęczkiem brzożowej kory i naręczem chrustu i suchych gałęzi. Rozniecił ognisko. Zwalił kilka uschniętych sosen i przywłókł do naszego biwaku. Dorzuciliśmy do ogniska, by zrobiło się większe.

O zmierzchu usłyszeliśmy warkot samolotu; przeleciał na dość dużej wysokości.

- Niewielki z tego pożytek - rzekł Karl Olofsson.

Istotnie, nie mogli przecież dużo widzieć przez chmury i gęstą zawieruchę, i to w coraz większych ciemnościach.

- Ale w każdym razie to niepokoi - dodał.

Pierwsza noc

1

Na patelni Karla Olofssona smażyliśmy tłusty bekon, pokrojony w grube płyty. Ogień był duży, ognisko dobrze płonęło i buchało gorącym. Karl Olofsson wetknął do rękojeści patelni szczapę. Szczapa była metrowej długości, ale mimo to musiał osłaniać się przed żarem ogniska. Położyliśmy na patelni kromki chleba, by wsiąkł w nie wrzący tłuszcz. Karl Olofsson nakładał bekon na chleb, posługując się nożem.

Pokroiłem ser w grube plastry i poukładałem je na bekonie.

Potem zająłem się przygotowaniem potrawy. Ustawiłem patelnię tak, by ciepło objęło ją od góry, a w każdym razie z ukosa, ser zmiękł, rozplynał się po chlebie i bekonie i pięknie się przyrumienił na dnie patelni.

- Jak w najlepszej restauracji - rzekł Karl Olofsson - gdy mu podawałem kanapkę. Wziął ją jedną ręką, odgryzł duży kęs i sparzył się w usta. Wciągnął zimne powietrze między wargi, żeby ochłodzić język, i wybuchnął śmiechem. - Cholera! - zaklął śmiejąc się i wciągając więcej zimnego powietrza, żując i przełykając. Wyciągnął rękę, by płatki śniegu spadały na pajdę chleba z bekonem. Przemieniały się na niej w małe kropelki wody.

Płatek śniegu może czasem wydawać się duży. Gdy stopnieje, robi się z niego jednak tylko mała kropla wody. Jedliśmy gorące kanapki ze smażonym bekonem i serem. Syciły o wiele bardziej, niż można było przypuszczać.

Karl Olofsson ugotował kawę.

Wieczór już był późny, właściwie noc. Wokół nas było ciemno i czarno, jeśli pominąć małą kulę, a raczej półkulę, światła z ogniska; światło obejmujące trzydzieści albo może pięćdziesiąt kroków. Teren na wpół bagnisty świecił białą. Dość chyba wiekowe sosny i świerki przypominały silnie pomniejszone piramidy albo nieco powiększone ule staroświeckiego kształtu.

W kręgu światła znalazło się także z dziesięć drzew, świerków albo sosen, które mimo wszystko osiągnęły wysokość sześciu, siedmiu, ośmiu metrów lub więcej. Musiały być bardzo stare.

- Nie wiem - rzekł Karl Olofsson - ale te drzewa są chyba cholernie stare. Jak myślisz?

- Prawdopodobnie.

Były istotnie niemal uschłe, prawie martwe. A z ich gałęzi zwisały długie frędzle czarnych brodatych porostów.

- Patrz na tę czarną brodę - rzekł Karl Olofsson.

- Ta czarna broda nazywa się po łacinie electoria - odparłem.

2

Obaj, Karl Olofsson i ja, mieliśmy w plecaku ciepłe swetry. Powinniśmy byli włożyć je na siebie w tę pierwszą noc na biwaku. Nie zrobiliśmy tego. Nie wiem dlaczego. Nie było zbyt zimno. Śnieżyca ustała i zastąpiły ją krótkotrwałe śnieżne zadyмки.

Gdy panuje ostry mróz, płatki śniegu są małe i ziarniste. Gdy po silnym mrozie przyjdzie mniejszy mróz i wraz z nim większa wilgotność w atmosferze, płatki śniegu stają się coraz większe.

- Ta czarna broda - rzekł Karl Olofsson kuląc się, naciągając na głowę kaptur wiatrówki i zapalając fajkę.

- Tak?

- Gwizdę na nią.

- Powiadasz?

- Uhum!

- Boisz się? - zapytałem po chwili milczenia.

- Czego się mam bać? - roześmiał się cichym bulgocącym śmiechem.

Miałem w plecaku pół litra wódki. Wyjąłem butelkę trzymając ją pod światło ogniska.
- Jesteś służbowo? - zapytałem.
- Nie - odpowiedział. Pochylił się do przodu i spojrzął na zegarek. - O tej porze już nie - dorzucił.
Wyciągnął ku mnie kubek od kawy. - O tej porze już nie - powtórzył. Kaszlnął, splunął w ognisko, znowu zakaszał. - Niech to diabli! - rzekł. Podniósł kubek, jeszcze kaszłąc. - Na zdrowie!
- A votre santë - odparłem.
Dźwięk tych trzech obcych słów zatrzymał go.
- Coś powiedział? - zapytał.
- Grëss Gott - odrzekłem.
- Ach, tak. - Wychylił kubek, uśmiechnął się, potem roześmiał głośno, splunął w ognisko. - Ach, tak, uhm - powiedział.

3

Jak już wspomniałem, nie należy skąpić z pokryciem podłogi gałęzmi i chrustem, gdy się ma zimową porą nocować w szałasie. Do leżenia trzeba grubej warstwy świerczyny, grubej warstwy miękkich gałęzi i gałązek. Jedyne gruba warstwa gałęzi i gałązek przez swoją miękkość może dać wrażenie ciepła.

Ułożyłem się jakoś na posłaniu. Niemal usnąłem.

Karl Olofsson włożył na głowę swoją czarną wełnianą czapkę, może zresztą była ciemnogrnatowa. - Zасыpiasz? - zapytał.

Pamiętam, że marzłem, ale że uczucie chłodu i zimna mniej było dojmujące niż niewygodna pozycja. Miejsce, w którym urządziliśmy obozowisko, było zbyt spadziste. Pod moimi biodrami znajdowała się wypukłość, kamień lub korzeń drzewa, co przeszkadzało mi w leżeniu na boku.

Dla większości ludzi spanie na boku jest pozycją naturalną.

- Nie, do diabła - odparłem. I dodałem. - Czego chcesz?
- Tu w pobliżu jest chata - powiedział. - Tylko kawałek drogi stąd.
- Gdzie? - zapytałem. - Daleko?
- Niezbyt daleko - odpowiedział.
- Jak daleko?
- Hmm!

Także i on leżał na wznak, naciągnął kaptur zielonej wiatrówki na czapkę, która była albo czarna, albo ciemnogrnatowa. Palił fajkę.

- Tylko kawałek stąd - rzekł. - Niedaleko. Tam w dole nad Siliesjaure.
- Chata?
- Tak.

- W takim razie dlaczego nie poszliśmy tam? - zapytałem. - Dlaczego leżymy tutaj? Dlaczego nie poszliśmy dalej, aż do tej chaty?

- Jest zamknięta - odparł.
- To chyba, do diabła, żaden powód.

Pamiętam, że marzłem i że nasze obozowisko było niewygodne.

- Cholernie dużo ryb tam na dole. Nad Siliesjaure.
- Ale dlaczego zatrzymaliśmy się tutaj? - zapytałem.

Wyciągnął rękę, podałem mu pudełko zapalek.

- Przeważnie złotopstrągi: łapie się pięć złotopstrągów na jedną inną rybkę.

Byłem uparty.

- Dlaczego nie poszliśmy do tej chaty? Karl Olofsson leżał na wznak i palił fajkę.
- Jak się zastanowić - bąknął.
- Zastanowić się?

- Musimy tu przecież być jutro wczesnym rankiem - odparł. - Naturalnie! Musimy tu być wcześniej jutro rano.

- To truizm.
- Co takiego? Truizm? Turyzm?

Po czym roześmiał się zarażając i mnie śmiechem, a następnie wstał i wyszedł z szałasu, by dołożyć do ogniska kilka grubych suchych pni. Deszcz iskier trysnął i posypał się ku ciemnemu niebu.

4

W jakąś godzinę później powiedział:

- Powinniśmy byli wziąć z sobą radio.

Mam w domu mały tranzystorek - odparłem. - Prawie nic nie waży. Nie pomyślałem o tym. Zapomniałem o nim.

- Już wkrótce pora na wiadomości - rzekł i odwrócił tarczę zegarka ku światłu ogniska.

Uniosłem się do połowy ciała.

Wydawał mi się zupełnie rozbudzony. Leżałem niewygodnie. Bolały minie trochę biodra i uda.

5

- Chyba już ze dwadzieścia lat minęło, jak się tak nocowało na wolnym powietrzu - odezwałem się. - Jak się marzło i głodowało. Pod gołym niebem.

Zimno jak cholera.

Karl Olofsson rzekł:

- To mała ładna chatka, chatka dla wędkarzy.

- Nie słuchasz mnie - wtrąciłem.

- Właścicielami jest kilku facetów ze spółki leśnej - odpowiedział.

- Tej chaty?

- Choć oni nieczęsto tam bywają - ciągnął. - Niecały tydzień w najlepszym wypadku i to nie co roku, raczej tylko co drugi rok.

- Słuchaj no! - przerwałem. - Nie musisz się tak cholernie bać.

Uśmiechnął się do mnie.

- Bać się? A kto by się tam bał u licha?

- Już chyba ze dwadzieścia lat minęło, jak nocowałem pod gołym niebem w taki sposób - rzekłem. - Dwadzieścia lat albo coś około tego. Byłem wtedy harcerzem. - Pamiętam, że zerknąłem na niego. Palił fajkę i patrzył w ognisko. Ściągnął swoją czarną lub ciemnogniatową czapkę głęboko na czoło, aż na brwi.

- Nie mieliśmy namiotów - ciągnąłem dalej - tylko śpiwory. To było w zimie. Chyba między Nowym Rokiem a Trzema Królami.

Karl Olofsson siedział wyprostowany, odprężony, rozluźniony.

- Ach, tak?

- Ty pewnie nigdy nie byłeś harcerzem, Kalle? - rzuciłem.

Potrząsnął przecząco głową.

- Było wtedy kilka stopni zimna, w ową noc przed około dwudziestu laty. Mimo to nasz drużynowy rozebrał się do naga, nim wsunął się do śpiwora.

- Na mrozie - odezwał się Karl Olofsson. - Ile stopni zimna było wtedy?

- To było w okolicach Nyndshamn - odparłem. - Rozpaliliśmy duże ognisko zgodnie z nakazami i instrukcjami Baden-Powella i Ebbe Lieberatha. Rozumiesz?

Karl Olofsson nabił fajkę na nowo, wystukawszy ją uprzednio o obcas gumowego buta.

- Baden jak? - zapytał z miną wskazującą, że nazwisko to nic mu nie mówi.

- Baden-Powell - powtórzyłem. - Sir Robert. To był generał. Lieberath był tylko majorem.

- Czy to Niemcy? - zapytał Karl Olofsson.

- Nie, do licha! Wprost przeciwnie!

Ile stopni zimna mogło wtedy być, w tę zimową noc przed około dwudziestu laty?

Nasz drużynowy stał przez chwilę przed ogniskiem, nagi, zanim wlaź do śpiwora.

- Ty chyba nigdy nie byłeś harcerzem, Kalle - powtórzyłem.

- Nie. A poza tym: gdzie leży Nyndsfor?

6

Miałem świadomość, że znajdowaliśmy się bardzo daleko od osiedli. Była noc, biwakowaliśmy w szałasie, marzliśmy, leżeliśmy niewygodnie, nie mogliśmy zasnąć. Od czasu do czasu pogadywa-

liśmy ze sobą.

Godziny bardzo się dłużyły. Karl Olofsson wpatrywał się w ogień, jego czarna lub ciemnograna-
towa szydełkowa czapeczka niemal całkiem schowana była pod kapturem wiatrówki. Nie spał. I ja
też nie mogłem zasnąć.

- O czym myślisz? - zapytałem.
- O niczym - odparł.
- O czymś przecież musisz myśleć.
- Nie wiem.
- Nie zaprzeczaj, musiałeś.
- Nie.

Gęste śnieżne zadymki przeciągały z wielką siłą obok naszego nocnego obozowiska. Ognisko sy-
czało, dym gęstniał. Leżeliśmy osłonięci parawanem ze świerczyny, mimo to marzliśmy.

- Jesteś niespokojny? - zapytałem.
- Nie zdaje mi się - odparł.
- Nie jesteś niespokojny?
- Nie.
- Ale w każdym razie trochę zdenerwowany?

Karl Olofsson wstał, ślizgając się wyszedł z szałas, przyciągnął jeszcze parę suchych pni sośni-
ny do ogniska i patrzył obojętnie na wiązki iskier, które ulatywały w górę, w nocną ciemność, jakby
wyrzucone z kowalskiego miecha.

- A jednak jesteś trochę zdenerwowany?
- Czy wyglądam na to? - zapytał.
- Może - odparłem.
- Marzniesz, Kalle? - zapytałem i wyciągnąłem korek z butelki.

Podsunał kubek, nalałem mu łyk wódki. I powiedziałem:

W lesie jest świeżość.

Chwila spoczynku

W zacisznym gąszczu:

Głęboko wdycham

Chłodne powietrze

Pod śnieżną sosną.

- Co to? - zapytał.

- Stary, egzaltowany Fin - odparłem upijając łyk prosto z butelki. - Albo, ściślej mówiąc, stary
egzaltowany Finlandczyk.

7

W ciągu nocy rozmawialiśmy od czasu do czasu. Karl Olofsson dokładał drzewa do ognia, a ja
wstawałem dwa razy, żeby przynieść więcej opału; zwałem trzy czy cztery suche sosny, które zna-
jdowały się w zasięgu światła naszego ogniska.

Obaj marzliśmy. Miałem w plecaku gruby sweter. Nie wyjąłem go; zdaje mi się, że całkiem po
prostu zapomniałem o nim. Także i Karl Olofsson miał sweter w plecaku. Przypuszczam, że i on
tak czy inaczej © nim zapomniał.

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy - bąknąłem.

- On zawsze musi tak cholernie wszystko organizować - odparł Karl Olofsson. -.Ten policjant?
Nilsson?

- Tak.

- Ale ty bimbasz na jego organizowanie - powiedziałem.

- Tak.

- I jesteśmy cholernie daleko od bazy?

- Uhm! - mruknął sennie i leniwie.

- Ile mil?

- Trzy, cztery, czy coś koło tego - odparł.

Robił się ranek.

Najbliższe drzewa z początku świeciły jasno na tle ciemnego nocnego nieboskłonu. Następnie ja-

sność ta przygasła i drzewa zaczęły stawać się ciemne na tle coraz jaśniejszego porannego nieba.

Karl Olofsson zgarnął żar w kupkę i postawił na niej imbryk z wodą na kawę.

- Zbudziłeś się? - zapytał.

- Nie!

- Najwyższy czas!

- Nie zdążyłem jeszcze zasnąć - odrzekłem.

Zakaszłał, splunął, przeciągnął się. Pogrzebał w żarze krótkim patykiem, odchylił się w tył, by uniknąć dymu.

Ranek dopiero się zaczynał. Było jeszcze tak samo ciemno, jak jasno.

Napiliśmy się kawy, ale nic nie jedliśmy. Kto zmęczony, często także nie jest głodny.

8

Karl Olofsson nalał mi kawy do kubka. Była gorąca. Siedzieliśmy w szałasie blisko ognia. Ro-
biło się coraz jaśniej. Chmury leżały nisko, poruszały się wolno: krótkotrwałe śnieżne zadymki się-
gały do naszego obozowiska, przeslizgiwały się nad nami i znikwały, a po nich przychodziły nowe,
równie gęste zadymki śnieżne.

Znajdowaliśmy się rzeczywiście daleko od osiedli, w bezludnej dolinie.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwałem się.

- Tak - odparł, prawdopodobnie nie słuchając, co mówię.

Zapytałem:

- Dlaczego chciałeś, żebym to akurat ja poszedł z tobą?

Mruknął coś pod nosem.

Było to dla niego kłopotliwe pytanie. Zawsze trudno mu było znaleźć odpowiednie słowa.

- Dlaczego akurat ja? - nie dawałem za wygraną.

- Pamiętasz, kiedy ty i ja - odpowiedział - ty i ja, złowiliśmy tamtego... Jak cm się nazywał, u li-
cha? Pamiętasz, prawda?

- Oczywiście, że pamiętam.

- A ta, co zbierała moroszki. Tylko ja wiedziałem, gdzie ona może być.

- Tak?

- Tylko ty mi wtedy towarzyszyłeś.

- Jasne, że pamiętam - odparłem. - Ale dlaczego tyle o tym gadasz?

- Znaleźliśmy ją.

- Znaleźliśmy.

- Ty i ja.

Nie patrzył na mnie, mówił wolno, zacinając się. Nagle upuścił kubek i zrobiło mi się go żal.

Rzuciłem mu woreczek z kawą.

- Niedużo już zostało - bąknąłem, żeby zmienić temat. - Musimy oszczędzać.

Podszedł do ogniska i nalał sobie wody z imbryka. Dłonie mu drżały i pił siorbiąc, dmuchając.

Robiło się coraz jaśniej, bardziej porannie, zaczynał się dzień.

Następnie zdjął z ognia kociołek, w którym topiliśmy śnieg, i podsunął mi go.

- Można służyć odrobiną wody do golenia? - rzekł. - Jak zwykle.

Pamiętam, że mnie zirytowało to pytanie. Było zupełnie niepotrzebne.

- Nie zamierzam się golić - burknąłem.

Wyjąłem neseser, otworzyłem go; trzymałem w ręku szczoteczkę do zębów.

- Nie zamierzam myć zębów - rzekłem.

- Nie?

- Nie zamierzam też obcinać paznokci - dodałem.

Roześmiał się, a potem wylał wodę z imbryka i kociołka na żar ogniska.

Spakowaliśmy plecaki. Me mogłem się opędzić rosnącej irytacji.

- Dałbym głowę, że siedzieliśmy tu niepotrzebnie na czatach przez całą noc - stwierdziłem.

- To się zobaczy - odparł.

Jego odpowiedź przyszła niespodziewanie, jakby ją wypluł z siebie.

Drugi dzień

Zgarnął gałęzie, którymi wymoszczony był szałas na biwaku, i zaniósł naręczę o pięćdziesiąt kroków dalej na nasze stanowisko, gdzie znowu rozłożył je na ziemi.

Nasze ognisko nie tylko stopiło śnieg, ale także wgryzło się głęboko w torf.

Nogą narzuciłem śnieg na zar i udeptywałem go, dopóki nie znikły wszelkie ślady dymu i pary wodnej.

Włożyłem swoje rzeczy do plecaka, wziąłem karabin i podszedłem do Karla Olofssona. Obserwował bagnisko przez lornetkę. Padał lekki śnieg.

- Widzisz coś? - zapytałem.

- Cholerne mnóstwo śniegu - odparł. - Zupełnie jak na świątecznej widokówce.

Podał mi lornetkę i bez słowa poszedł na taki sam obchód jak poprzedniego wieczora najpierw podejście w stronę górskiego zbocza a potem skrajem bagna w dół do jeziora. - Żadnych śladów? - zapytałem.

Potrząsnął głową.

Położył się na brzuchu na rozszlanych gałęziach, opierając brodę na rękach. Płatki śniegu spadając na jego wiatrówkę w miejscu, gdzie opinała się na łopatkach, tajały: rozgrzał się szybką przechadzką. Leżał z gołą głową.

Siedziałem tuż za nim na zwalonym pniu brzozy. Zrobił się pełny dzień.

Marzłem, ale nie miałem ochoty się ruszyć.

- To nie ma sensu - orzekłem, choć wiedziałem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie było to tak całkiem bez sensu.

Nic nie odpowiedział.

- Gdzie stoi ta chata, coś tyle o niej gadał? - zapytałem.

Zapalił fajkę.

- Jak to daleko? - dopytywałem.

Karl Olofsson był nie tylko małomówny. Potrafił też zaciąć się w upartym milczeniu, nigdy poprzednio nie zauważyłem u niego tej cechy, ale Marie, jego żona, wspominała o tym kiedyś.

- Jak to daleko? Kilometr? Dwa?

Zdawało się, że nie słucha.

- A może ona stoi tuż, za tym wzgórzem?

Milczał.

- Marie miała słuszność - stwierdziłem.

Uniósł się na łokciach i przyłożył lornetkę do oczu. W gęstej śnieżycy nie mogła mu się na nic przydać.

- Ciepła chata - ciągnąłem - do diabła, łóżka i koce, i piec!

Milczał.

Czasem potrafię się unieść, wiem o tym. Nie zaprzeczam temu.

- Straciłeś mowę? - rzekłem.

Możliwe, że niepotrzebnie powiedziałem to zbyt głośno. Pochyliłem się do przodu i uderzyłem go mocno zaciśniętą pięścią w nogę.

Opuścił lornetkę, wolno odwrócił głowę w moją stronę i popatrzył na mnie z przesadnie zdziwioną miną.

Wyciągnąłem się obok niego na podściółce z gałęzi, oczyściwszy ją wpierw ze świeżo spadłego śniegu. Odsunął się.

Stanowisko było wybrane doskonale, mieliśmy widok na rzadko porośniętą drzewami bagnistą łąkę między zboczem a jeziorem. Gęste tumany śniegu nadlatywały od zachodu, jednak w miejscu, gdzie leżeliśmy, było zupełnie zacisznie.

- Ten lód jeszcze nie jest nośny - odezwałem się. Karl Olofsson spojrział na jezioro. - Może tylko w zatokach - ciągnąłem. - Tam gdzie zamrzło najwcześniej.

Leżał z gołą głową, zdjął swoją czarną czy ciemnogrnatową czapeczkę i od czasu do czasu przyglądał włosy.

Była godzina między dziewiątą a dziesiątą rano, jasny dzień. Niebo pokrywały chmury, tak że światło padało z wszystkich stron i nie dawało żadnych cieni.

Nasze stanowisko położone było na skraju bagniska i Karl Olofsson, robiąc obchód, przeszedł tuż przed stanowiskiem, najpierw w kierunku zachodnim, w stronę górskiego zbocza, a potem na wschód, nad brzeg jeziora. Brodził w śniegu, który w ciągu nocy stał się co najmniej o dwadzieścia centymetrów głębszy, ale jego ślady były niemal całkiem niedostrzegalne. Siady te były tak białe, jak otaczająca nas nie tknięta pokrywa śnieżna.

- Musi być słońce i cienie, żeby można było zobaczyć ślady na śniegu - powiedziałem. Karl Olofsson mruknął coś niewyraźnie i niezrozumiale. - Naturalnie - ciągnąłem - gdy się jest całkiem blisko śladu, wtedy można go zobaczyć, bez względu na to, czy są cienie, czy nie, czy niebo jest jasne, czy też zachmurzone i czy pada śnieg. - Milczał uparcie. - No nie? - zapytałem.

Wsadził lornetkę do futerału. Była to staroświecka lornetka, niemieckiej produkcji, wprawdzie lekka, ale gorszej jakości niż moja japońska, a poza tym o wiele droższa. Nie lubię mrukliwości i upartego milczenia. Twarz jego zwrócona była w stronę bagniska. Wyobrażam sobie, że jego oczy przesuwały się po jeziorze, po bagnie i po górskim zboczu.

- Leżymy tu całkiem niepotrzebnie - odezwałem się - całkiem na próżno i cholernie niepotrzebnie.

Wbrew mojemu twierdzeniu byłem w pełni świadom tego, że mimo wszystko w naszym postępowaniu było coś rozsądnego, coś przewidującego i jakaś kalkulacja.

- Twój karabin został przy obozowisku - rzekłem. Nic nie odpowiedział.

- Zapomniałeś go zabrać.

A może zostawił go tam całkiem po prostu.

Po krótkiej chwili zapytał:

- Cóż to takiego powiedziała Marie?

- O co ci chodzi?

Karl Olofsson zastanowili się.

- Marie ma rację. Tak właśnie powiedziałeś: Marie ma rację.

- Tak.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Nie wiem - odparłem - chyba nic specjalnego. Ale ona mówiła kiedyś, że ty czasem potrafisz być cholernie mrukliwy i uparty.

- Kiedy to było?

- Nie pamiętam - odparłem. - Nie pamiętam dokładnie kiedy.

Powiedziała tak kiedyś.

- Ach tak - mruknął.

2

Śnieżycy od czasu do czasu ustawała i wtedy mieliśmy lepszą widoczność na dolinę pod chmurami. Ściana górską na lewo od nas była czarna i urwista, nieregularnie przegowana na białe śniegiem, który utrzymał się na jej wąskich i na ogół poziomych występkach skalnych. Nikt nie mógłby wdrapać się na tak strome zbocze. Cóż, może tylko dobrze wytrenowany alpinista.

Jezioro na prawo od nas pokryte było lodem i białe od śniegu z wyjątkiem tych części, które leżały najbliżej dopływów i odpływów. Lód, wyraźnie cienki, jeszcze bardziej osłabiała gruba na parę stóp pokrywa śnieżna. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zapuściłby się dobrowolnie na taki lód.

Mijały godziny.

Marzłem i niemal utraciłem już czucie w stopach.

- To nie ma sensu - powiedziałem.

Karl Olofsson uśmiechnął się do mnie; szeroka okrągła twarz o wąskich oczach.

- Nie byłeś tego zdania w nocy. Mam na myśli przedwczorajszą noc.

Prawdę mówiąc nie pamiętałem zbyt dużo z tego, co uważaliśmy i jakiego zdania byliśmy, ja czy on, przedwczoraj w nocy.

- Byłeś na bańce - dorzucił.

- Czyżby?

- Tak, tak!

Jakby nie wiedział, że sam był jeszcze bardziej zawiany.

- Jak się zastanović... - ciągnął.
- To co?
- To on musi przyjść z tamtej strony - powiedział wskazując na północną część doliny.
- Możliwe - przyznałem.
- Właśnie tego nie mógł tamten zrozumieć - rzekł Karl Olofsson.
- Kto taki? - zapytałem. - Jaki tamten?

Czułem niemal, jak jego myśli uciekają gdzieś na boki.

- No ten, który musi zawsze organizować wszystko tak cholernie - odparł.

Wziął garść śniegu, zgniótł w małą płaską grudkę, którą włożył do ust, by stopniała.

Karl Olofsson jest mańkutem.

Znajdowaliśmy się rzeczywiście bardzo daleko od osiedli, w bezludnej dolinie. Las na stokach nad jeziorem nigdy nie był wyrąbywany; był zbyt przerośnięty, zbyt stary, zbyt rosochaty, zbyt daleko położony.

Po drugiej stronie jeziora powinno było znajdować się małe obozowisko z trzema torfowymi jur-tami i prowizorycznie zbitą z desek chatą. Właściciele i pastuchy renów zwykli byli zatrzymywać się tam w sierpniu, nim stada renów przeniosły się na jesienne i zimowe pastwiska o jakie sto kilometrów bardziej na południowy wschód.

- A ci inni - zapytałem - czy oni wiedzą, gdzie my jesteśmy?

Karl Olofsson uśmiechnął się do mnie - tym swoim zwykłym, szerokim uśmiechem. Dłonią strącił z włosów płatki śniegu.

- A skąd oni, ci inni, mieliby coś wiedzieć? Kto by im miał to powiedzieć?

- W każdym razie nie ja - odrzekłem.

- No więc! - I dodał: - On zawsze musi wszystko tak cholernie organizować.

- Taki już jest - wtrąciłem. - Nie ma tyle rozumu, by słuchać mądrzejszych od siebie. No nie?

- Inaczej jest bardziej na południu - rzekł Karl Olofsson. - Na przykład w Vostergetlandii. Tam mają naganiaczy zamiast psów.

- Odległości i lasy są małe na południu, na przykład w Vostergetlandii - dorzuciłem ironicznie.

Karl Olofsson był nieczuły na ironię.

- Co to jest ironia? - zapytał.

Są słowa, których wyjaśnienia trzeba czasem unikać.

3

Czas płynie wolno, gdy się leży bez ruchu i marznie.

Słońce wzniosło się wyżej, choć nie mogliśmy tego widzieć z powodu gęstej pokrywy chmur. Zrobiło się nieco cieplej: płatki śniegu stały się nieco większe i cięższe i lepily się łatwiej do pni drzew, do gałęzi i gałązek.

Miałem w plecaku termos z kawą.

- Ta kawa ma już około trzydziestu sześciu godzin - powiedziałem.

Karl Olofsson umoczył mały palec w kubku, który mu podałem.

- Ale w każdym razie ma więcej niż trzydzieści sześć stopni ciepła - odparł. Potem kiwnął głową wskazując na bagno przed nami: - On musi tu przyjść. Stamtąd. I po tej stronie jeziora.

- Dlaczego?

- Bo tak już jest.

- Dlaczego?

- Idzie się zawsze tędy, którędy najłatwiej jest iść - odrzekł. - Wszyscy tak robią, wszyscy. Musi przyjść stamtąd i dlatego będzie szedł po tej stronie jeziora.

- Tak myślisz?

Nic nie odpowiedział.

Wiedziałem, że ma rację, ale jestem także świadomy tego, że właśnie wtedy nie chciałem przyznać, iż ma rację.

Wstałem z ziemi i cofnąłem się nieco, by uzyskać dobrą perspektywę zarówno na nasze stanowisko, jak i na bagno przed nami. Zrobiłem moją kamerą pół tuzina zdjęć.

Karl Olofsson był na pozór zupełnie obojętny, nie odwrócił nawet głowy, by na mnie spojrzeć. Gdy usłyszał trzask migawki, uniósł się jednak na łokciach, ułożył się wygodniej, wsadził fajkę do

ust i zapalił, wydmuchnął chmurę dymu.

- Pozer z ciebie - stwierdziłem.
- Pozer?
- Od pozować, szukać efektów, udawać.
- Szukać efektów?

4

Dzień mijał powoli. Było bardzo cicho, wiatr ucichł zupełnie, nie słyszeliśmy żadnych ptaków. Raz wzdrygnęliśmy się na urwany trzask w lesie za nami; prawdopodobnie sucha gałąź pękła pod ciężarem świeżo spadłego śniegu.

Ktoś nie znający Karla Olofssona mógłby sądzić, że leży on całkiem spokojny i odprężony obok mnie na podściółce z gałęzi. W rzeczywistości był niespokojny, niecierpliwy, napięty. Nie można było tego odgadnąć patrząc na jego ciało i nogi; leżał niemal nieruchomo, z głową spoczywającą na ramionach, ale jego dłonie i palce były w ustawicznym ruchu.

- Jak on przyjdzie - zapytałem - jeśli przyjdzie; co, u diabła, wtedy zrobimy?
- Nie wiem dobrze - odparł Karl Olofsson.
- Nie wiesz?
- Dźwignął się na kolana i zaczął mocno zabijać rękami. - Zobaczymy - powiedział. - To zależy.
- Zobaczymy?
- Tak.

Starąłem się przypomnieć sobie jego wywody w czasie nocy spędzonej u niego w domu. Rozpostarł cztery mapy sztabowe, skala jeden do stu tysięcy, położył jedną przy drugiej na podłodze i siedzieliśmy w kucki nachyleni nad nimi. Narysował trasę ołówkiem, kilka razy nacisnął go przy tym tak silnie, że czubek ołówka przebił papier. Musi się tylko zastanowić, mówił, rozpatrzyć. Nic w tym wszystkim szczególnego. Ludzie są bardzo podobni do siebie.

Kiedy się na przykład przychodzi do zamkniętej chaty, wiadomo, że klucz schowany jest gdzieś w pobliżu. Staje się wówczas plecami do drzwi i człowiek rozgląda się, gdzie by sam ukrył klucz. I zaraz go znajduje. Rzecz jasna, że trzeba przy tym także trochę myśleć, mówił, nie wystarczy tylko rozglądać się.

Marie, jego żona, trysnęła mi na kark wodą sodową z syfonu, gdy tak siedzieliśmy nachyleni nad mapami.

Pamiętam, że wtedy na naszym stanowisku odczuwałem rosnącą irytację, a może rosnący niepokój i nerwowość.

- Wszystko wykalkulowałeś, Kalle - powiedziałem - leżymy tu i czekamy. A nie wiesz, co zrobimy, jeśli on nadejdzie.

Odwrócił twarz ku mnie. Uśmiechał się ustami, ale brwi miał ściągnięte i rysowały się między nimi zmarszczki, jedna głęboka i dwie płytsze.

- Zobaczymy - powiedział.
- Oczywiście! Znowu to zobaczymy.
- Ale jeśli on przyjdzie, jeśli on przyjdzie przez bagnisko? Po tej stronie jeziora? - nalegałem.
- Zobaczymy.

Karl Olofsson uśmiechnął się do mnie, spojrział w górę i zamrugał pod spadającymi płatkami śniegu; trzy zmarszczki nad nosem wygładziły się, napięte brwi zmiękły.

- Zobaczymy - powtórzył.
- Twój karabin - odezwałem się - zostawiłeś go przy obozowisku.

Trzymał lornetkę na wysokości oczu nie patrząc przez nią. Leżał z gołą głową. Śnieg niczym ma lutka biała czapeczka pokrywał jego szorstkie, zwichrzone, kędzierzawe włosy.

- Zapomniałeś go tam - rzekłem - czy może nie?
- Nie odpowiedział.
- Zapomniałeś go! Zostawiłeś tam.

Karl Olofsson uśmiechnął się do mnie, przesunął dłońmi po twarzy, czole, skroniach, barkach. Godziny mijały.

Zrobił się jasny dzień, południe i z wolna zaczynało się popołudnie.

Jeden raz opuściłem nasz posterunek. Wstałem i pobiegłem co najmniej trzysta metrów wstecz, na małe wzgórze obok naszego nocnego obozu, potem zbiegłem ze wzgórzka ma podłużną bagnistą łąkę, a następnie na inne niewielkie wzgórze, skręciłem na wschód i wróciłem z mokrymi, zabłoconymi i zaśnieżonymi butami.

Ze śladów na śniegu mogłem wywnioskować, że także Karl Olofsson rozgrzał się krótkim biegiem, robiąc kilka rund i zataczając dość rozległe koło.

- Marzniesz - skonstatowałem.

- Jak cholera - odparł.

Leżeliśmy obok siebie, obaj na brzuchu, na rozłożonych gałęziach, osłonięci od przodu kilkoma małymi krzaczkami.

Kolana mi wystawały poza podściółką z gałęzi; śnieg topił się, spodnie przemokły. Wilgoć ziębi.

Krótkotrwałe opady śniegu nawiewały z zachodu, minio że na naszym stanowisku było zupełnie zacisznie od wiatru. Chwilami mieliśmy dobrą i niczym nie zakłóconą widoczność daleko w głąb doliny, na jezioro, bagno, stok górski, ale tylko przez kilka, najwyżej dziesięć minut. Przeważnie jednak wszystko, cały krajobraz, skrywało się za białą kurtyną padającego śniegu.

Miałem w plecaku trzy kanapki, przygotowane jeszcze w mocy, przed wyprawą. - Świetnie - ucieszył się Karl Olofsson.

Pajda chleba, masło, gruby plaster pasztetówki.

- Kawa - przypomniałem sobie i wyciągnąłem termos, niewiele już w nim zostało, po pół kubka dla każdego.

Nawet niecałe pół kubka.

Umoczyłem mały palec w moim kubku. - Dwadzieścia trzy stopnie - orzekłem.

- Dwadzieścia pięć - poprawił mnie.

- Jesteś nader uprzejmy - odparłem.

- Gdy pomyślę o tym norweskim wariacie - wymamrotał Karl Olofsson żując dokładnie swoją kanapkę.

- O kim?

- To było jeszcze przed tobą - odrzekł. - Zjawiał się od czasu do czasu w naszej wsi i domagał się azylu jako uchodźca polityczny.

- Słyszałem o nim.

- Twierdził, że jest synem cara Mikołaja Trzeciego - mówił Karl Olofsson.

- Wszystkich ich zamordowano przed tysiąc dziewięćset dwudziestym rokiem, cara, jego żonę, dzieci, wszystkich ich krewnych i tak dalej. Ale jemu, temu norweskiemu wariatowi, udało się mimo wszystko ocalić, uciec do Norwegii i tam się osiedlić. Zgłaszał pretensje do tronu rosyjskiego - ciągnął żując kanapkę i zachichotał. - Co najmniej pięć razy tu się zjawiał i szukał azylu w Szwecji jako zbieg polityczny.

- No i co? Co zrobiły władze? Wierni słudzy królewscy w odległych wioskach?

- Odstawialiśmy go za każdym razem do domu - odparł Karl Olofsson. - Otwierałem przed nim uprzejmie drzwiczki samochodu. Musiał bezwarunkowo siedzieć na tylnym siedzeniu. Nawet kłaniałem mu się nisko. Mieszkał w małej wiosce, która nazywała się Steinlia - dodał. - Tam był urodzony i tam mieszkał też jego ojciec. Mieli małe gospodarstwo.

Przekroiłem trzecią kanapkę z pasztetówką i podzieliłem się z nim.

- Nie wiedział, kim jest - dorzucił Karl Olofsson.

- Nie wiedział?

- Wszyscy inni wiedzieli, kim był. On sam sądził, że jest rosyjskim księciem. Poza tym nic mu nie brakowało. W przerwach między tymi występami harował w rodzinnej zagrodzie.

- Powiedziałaś Mikołaja Trzeciego? - zapytałem.

Karl Olofsson spojrział na mnie i twarz jego nieco się zachmurzyła.

- Trzeciego? - powtórzyłem. Był to naturalnie szczegół bez znaczenia i równie dobrze mógłbym być zamilczeć. - Nigdy nie było Mikołaja Trzeciego - ciągnąłem. - Ten, który został rozstrzelany, to był Mikołaj Drugi.

- Ale ten, o którym ja mówiłem, szukał azylu politycznego - odparł Karl Olofsson. - I nie wiedział, kim jest, choć wszyscy inni to wiedzieli.

- Syn cara nie nazywa się księciem, to carewicz.
- Gwiżdżę na to - rzekł Karl Olofsson.

6

Godziny biegły. Śnieżne zadymki przeciągały z wolna nad nami.

- Mogłeś być wybrać przyjemniejsze miejsce - powiedziałem.

Przed nami bagno z nielicznymi drzewami, na lewo pionowe górskie urwisko, na prawo wąskie jezioro pokryte tak cienką warstwą lodu, że nie mógłby chyba unieść nawet dużego lisa.

- Twój karabin - przypomniałem Karlowi Olofssonowi - został w szalasię.

Nic nie odpowiedział.

- Wisi tuż nad twoim plecakiem.

- Wiem o tym - burknął.

- Denerwujesz się? - zapytałem.

Dlaczego, do diabła, miałby się denerwować!

Po chwili powiedział:

- Jeśli on przyjdzie, to przyjdzie po tej stronie jeziora.

- Skąd możesz wiedzieć?

Trochę niepewnie usiłował mi wytłumaczyć.

- Wszyscy jesteśmy dość podobni do siebie. Gdyby ktoś szedł z tamtej strony przez dolinę i dotarł do jeziora, wówczas poszedłby całkiem po prostu zachodnim brzegiem.

- Dlaczego?

- Tak już jest. Każdy wybrałby tę stronę. Ludzie są dość podobni do siebie.

- Także i tacy, którzy nie wiedzą, kim są? - zapytałem. - Choć powszechnie wiadomo, kim oni są?

- Dlaczego musisz zawsze wszystko komplikować - rzekł niecierpliwie.

Starłem się przypomnieć sobie, cośmy - Karl Olofsson i ja - omawiali dwie noce temu. Rozposartał był na podłodze mapy sztabowe i siedzieliśmy przykucnięci nad nimi. Marie, jego żona, pstryknęła mi na kark wodą sodową.

Czułem nierozsądną irytację, że przypominam sobie tylko luźne fragmenty naszej rozmowy. Parę razy zastanawiałem się, czyby go nie zapytać, ale nie mogłem się przemóc, żeby to zrobić. Zresztą nie potrafiłby mi dać właściwej odpowiedzi, tylko kilka krótkich urywanych zdań i aluzji.

Wydawało się nonsensem leżeć tak i marznąć godzina po godzinie.

- Zobaczymy - powiedział. Po chwili dodał: - Tam, nadchodzi!

7

Karl Olofsson wskazał palcem przed siebie.

Niewyraźna postać oddzieliła się od lasu po drugiej stronie bagniska.

Wyszedłszy spośród drzew mężczyzna przystanął na chwilę, a potem poszedł dalej.

Karl Olofsson skulił się.

- Tam, nadchodzi - powtórzył.

- Nie musisz szeptać - rzekłem. - Nie może nas usłyszeć z tej odległości. - I dorzuciłem: - Skąd, u licha, możesz wiedzieć, że to on?

- To nie może być nikt inny.

- Nie może?

Mężczyzna wszedł na bagnisko, kroczył długim, powolnym krokiem. Raz potknął się, upadł na kolana. Podniósł się znowu i stał przez dłuższą chwilę.

Znajdował się może o trzysta metrów od nas. Zrzucił plecak, postawił go na ziemi i zszedł nad jezioro.

- To musi być on - szepnął Karl Olofsson. Mężczyzna, na którego czekaliśmy, przystanął na brzegu, pogrzebał butem w śniegu i znalazł w końcu dość ciężki kamień, który rzucił na lód. Szukał jeszcze przez chwilę w śniegu, ale prawdopodobnie kamienie były mocno przymarznione do ziemi.

Wrócił do swego plecaka poruszając się nadal powoli i swobodnie. Ujął plecak jedną ręką i ruszył dalej w naszą stronę.

Znów przystanął, schylił się i zaczął grzebać w plecaku. Znajdował się wówczas o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od nas, nie więcej. Miał na sobie krótką, luźną wiatrówkę, a na głowie czapkę z daszkiem.

Karl Olofsson wydobył pistolet. Palce miał zmarznięte na kość i trudno mu było wyjąć broń z kabury. Oddychał otwartymi ustami. Leżał skulony z szeroko rozstawionymi nogami i podciągniętymi kolanami. Wzdrygnął się na szczęk mojej kamery, gdy zrobiłem zdjęcie samotnego mężczyzny na bagnisku.

Mężczyzna, którego mieliśmy ująć, stał spokojnie przez dłuższą chwilę, chyba z pięć minut.

Od zachodu wiatr przyniósł gęstą śnieżną zadymkę. Mężczyzna spoglądając w górę uderzał czapką o nogę. Wyobrażam sobie, że odczuwał wielką samotność i że to wrażenie samotności potęgował jeszcze padający śnieg.

Odchrząknął kilka razy i splunął. Potem zawiązał znowu plecak i zarzucił go na plecy. Wsadził ręce do kieszeni spodni, rozejrzał się dokoła, patrzył na górskie zbocze, na jezioro, za siebie, przed siebie.

Karl Olofsson wpatrywał się w niego nie odwracając oczu, z głową pochyloną do przodu, z uniesionymi brwiami i zmarszczonym czołem. Kto go nie znał, powiedziałby może, że tchnął spokojem i zdecydowaniem. Znam go lepiej niż inni. Wiedziałem, że się boi, że znalazł się w sytuacji, nad którą nie panował, że jego stanowczość ograniczała się do stanowczego wyrazu twarzy.

Oddychał otwartymi ustami. Językiem przesuwiał raz po raz po wargach, ale i język był suchy i spękany.

8

Samotny mężczyzna na bagnie znów ruszył przed siebie. Szedł z rękami w kieszeniach, brnął w śniegu, nie spieszył się, małymi zakolami obchodził większe kępy, ale zmierzał prosto w stronę naszego stanowiska. Był już tylko o pięćdziesiąt metrów od nas.

Niebawem nas zobaczy, jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków. Karl Olofsson zamarł w swym niezdeterminowaniu. Traciłem go łokciem. - Teraz, do cholery! - szepnąłem. Mężczyzna na bagnie musiał usłyszeć mój głos. Zatrzymał się.

Zastygł w bezruchu.

Karl Olofsson wystrzelił skośnie w górę, w powietrze.

Przez parę sekund mężczyzna stał bez ruchu. Potem rzucił się na śnieg.

Wpełził za jedną z kęp, widać było tylko jego plecak.

Karl Olofsson opuścił pistolet. Pusta łuska, odrzucona, uderzyła mnie w ramię.

Mężczyzna poczołgał się szybko za inną kępę, a potem w stronę pnia obalonego drzewa. Karl Olofsson leżał jak sparaliżowany. Mężczyzna czołgał się dalej w kierunku następnego zwalonego drzewa, na ukos od nas. Był niemal całkowicie ukryty, tylko nogi widoczne były od kolan w dół. Usiłował przekreślić się na grzbiet, widać to było po nogach, ale miał z tym trudności, gdyż starał się przy tym ukryć za zwalonym pniem, a także dlatego, że mu przeszkadzał plecak.

- Widzisz przecież, do diabła! - przynagliłem.

Karl Olofsson rzucił mi szybkie niepewne spojrzenie. Podałem mu mój karabin, a on wziął go niemal z wahaniem.

- Musisz! - nie ustępowałem.

Uniósł się na ramionach i zawołał tak głośno jak mógł: - Wstań! - Wezwanie było naturalnie niedorzeczne. Karl Olofsson powtórzył je jeszcze raz.

Potem szybkim ruchem wprowadził nabój do lufy, zdmuchnął z karabinu śnieg, starannie wycełował i strzelił.

Wystrzał z pistoletu trzasnął jak uderzenie bicia. Wystrzał z karabinu zabrzmiał w ciszy jak eksplozja, z krzaków przed naszym stanowiskiem opadł zdmuchnięty śnieg, fale dźwięku przetoczyły się między górkim urwiskiem na lewo od nas a lasem po drugiej stronie bagniska, schowanymi w chmurach wzgórzami i lasem na drugim brzegu jeziora.

Mężczyzna wierzgnął jedną stopą, która opadła potem wolno na śnieg.

9

Karl Olofsson podniósł się z ziemi. Podał mi karabin, wprowadziwszy wpierw szybkim ruchem nowy nabój do lufy. - Już gotów - powiedział. W lewej ręce trzymał pistolet, prawą wydobył czapkę mundurową, zatknął ją za pas. Włożył ją na głowę. - Strzelałem w nogę - oznajmił.

Wszedł spokojnie na bagno i dyrygował mną szybkimi i jednoznacznymi ruchami ręki. Zbliżaliśmy się do postrzelonego, każdy z innej strony.

Karl Olofsson dotarł do niego pierwszy. Obcy leżał na boku z twarzą ukrytą pod ramieniem. Karl Olofsson wsadził pistolet do kabury. Przyklął przy leżącym, chwycił go za ramię i przewrócił na wznak.

Był to całkiem młody mężczyzna, jeszcze chłopak. Twarz miał bladą. Jasny zarost na brodzie i na górnej wardze był trochę kędzierzawy. Oczy biegały szybko, przenosząc się ze mnie na Karla Olofssona.

Prawdopodobnie zmieszał mnie trochę jego młody wiek.

- To chyba on? - odezwałem się niepewnie. Karl Olofsson rozpiął rannemu płaszcz, spod którego ukazał się pistolet maszynowy.

- Jeszcze wciąż masz wątpliwości - powiedział przekładając ramię pistoletu przez głowę młodzika.

Nie, nie było żadnego powodu, by jeszcze wątpić.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

Zamknął oczy. Dotknąłem lekko stopą jego biodra.

- Jak się nazywasz? - powtórzyłem. Nic nie odpowiedział.

Pod prawą nogą leżącego widniało kilka plamek krwi. Spodnie były poszarpane na siedzeniu, akurat tam, gdzie wata jest najgrubsza.

- Pomalutku - hamował mnie Karl Olofsson. Dokonała się w nim gwałtowna zmiana, jego niezdecydowanie i brak energii w działaniu znikły jakby zdmuchnięte. Podniósł zranioną nogę młodzika. - Jaką miałeś amunicję w karabinie? - zapytał.

- Trzeba było sprawdzić, nim strzeliłeś - odburknąłem.

- Z pełnym płaszczem.

- Zgodnie z konwencją haską z początku stulecia.

Karl Olofsson uśmiechnął się do mnie. Wydawał się odprężony i niemal wesół.

- To tylko rana postrzałowa - powiedział do chłopaka - to tylko zadrażnienie.

Zabrałem nasze rzeczy z biwaku i z naszego stanowiska. Zrobiło się późne popołudnie.

- Musimy zejść do tej chaty, o której ci mówiłem - rzekł Karl Olofsson.

Mogliśmy równie dobrze zrobić to poprzedniego dnia.

Pomógł młodzikowi wstać z ziemi, zarzucił sobie jego rękę na barki i ruszył przez bagno, niosąc go prawie. Po przejściu około pięćdziesięciu kroków nasz więzień osunął się na ziemię i gwałtownie wymiotował.

- Jutro będzie z nim lepiej - powiedział Karl Olofsson. - Widzisz, przyszedł po tej stronie jeziora - dodał - przyszedł właśnie do tej doliny i po tej stronie jeziora.

Niosłem nie tylko mój plecak, ale także plecak schwytanego młodzika, oba nasze karabiny, a ponadto pistolet maszynowy. Było to ciężkie brzemię.

- Po tej stronie jeziora - powtórzyłem.

- Tak jak to sobie wykalkulowałem - odparł Karl Olofsson.

Nie wyznawał się zbyt na ironii.

Nasz jeńiec, ten młodzik, stał na czworakach niczym duży ciężki pies.

Zgubił czapkę. Podniosłem ją, utaplaną w wymiocinach.

Obrzucił mnie bardzo szybkim i bardzo płochliwym spojrzeniem. Z jednego kącika ust zwiślała na śnieg gruba i ciągnąca się nitka śliny.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

Milczał.

Nacisnąłem mu czapkę na głowę.

- No? - zapytałem.

Milczał.

- Przecież musisz się jakoś nazywać - powiedziałem.

Karl Olofsson położył mi rękę na ramieniu i odsunął mnie.

- Nie teraz - rzekł. - Nie akurat teraz.

- Dlaczego nie?

- Zaraz zacznie zmierzchać.

- Jak chcesz - odrzekłem.

Musieliśmy zejść do chaty, do tej chaty, o której już mówił, z której korzystali wędkarze.

Jak nazywało się to jezioro? Siliesjaure. To nazwa Japońska.

Jezioro nazywało się Siliesjaure.

On, ten młody chłopak w wiatrówce i czapce i z maszynowym pistoletem, on też musiał się jakoś nazywać. No nie?

Karl Olofsson odsunął mnie. Chwycił naszego więźnia za ramię, podniósł go i przerzucił sobie jego ramię przez barki. Brnęli przede mną w śniegu.

Szedłem tuż za nimi. Niosłem dwa plecaki, dwa karabiny i pistolet maszynowy.

Nasza droga wiodła w dół.

Z wolna zapadał zmierzch, a gwałtowna zadymka jeszcze zwiększyła wrażenie, że zbliża się wieczór.

Przeszliśmy przez strumyk, którego nurt był zadziwiająco wartki jak na tę porę roku.

11

Dotarliśmy do jeziora, które się nazywało Siliesjaure. Zobaczyłem chatę po drugiej stronie wąskiej zatoki. Karl Olofsson kiwnął znacząco głową i poszedłem przodem po lodzie pokrywającym zatokę. Łódź był niepewny. Ugiął się pod nami i zabarwił się na ciemno od występującej na wierzch wody. Ale wytrzymał. Jesienne i wczesnozimowe lody są wytrzymałe.

Siliesjaure to dosyć małe jezioro. Jeszcze nigdy przedtem tam nie byłem.

Jego długość można by ocenić może ma jakieś dwa tysiące metrów.

- Cholernie dużo ryb? - zapytałem.

- Pstrągi i złotopstrągi - odparł Karl Olofsson idący w ślad za mną. Mówił z wysiłkiem, dysząc.

Trudno było wyrobić sobie określony pogląd na szerokość jeziora. Jego brzegi były ostro postrzępione, cypłe wschodniego wybrzeża sięgały aż po cypłe wybrzeża zachodniego. Łódź był - jak to już wspominałem - cienki i niepewny. Ugiął się pod naszym ciężarem i śnieg robił się czarny od występującej na wierzch wody. Wieczne niebo pokrywały grube chmury.

Przeszliśmy szczęśliwie przez wąską zatokę.

Zrobiło się znacznie zimniej. Śnieg i woda wokół naszych butów zamarzały na szarą kaszę. Co raz ciężiej było podnosić stopy.

- Zmęczony jesteś? - zapytałem.

- Nie bardzo - odparł Karl Olofsson.

Brzeg przed chatą nie był szczególnie wysoki, ale stromy i kamienisty.

Zatrzymałem się i czekałem na nich.

Przez ostatni kawałek drogi po lodzie Karl Olofsson niósł schwytanego młodzika. Wciągnął go sobie na plecy i niósł, ludzki nieprzytomny bagaż. Był o wiele niższy niż nasz więzień. Szedł mocno pochylony. Prawa stopa młodzika wlokła się po śniegu.

- Wyglądasz jak święty Bartłomiej - powiedziałem - ten z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu. W każdym razie podobnie.

Zaraz ogarnęły mnie pewne wątpliwości. Czy ten święty nazywał się istotnie Bartłomiej? Mam dobrą pamięć, ale nie zawsze jej ufam.

Karl Olofsson dotaszczył naszego więźnia do chaty, do przysionka przed drzwiami. Tam opuścił go z tak w gruncie rzeczy niepotrzebnie podkreśloną ostrożnością, że młodzik mógł wygodnie usiąść na ławce znajdującej się przed chatą.

- Czy byłeś kiedyś w Grecji? - zapytałem.

Karl Olofsson potrząsnął głową przecząco.

- A we Włoszech?

Wyprostował się i uśmiechnął do mnie, a potem zaśmiał się: - Raz byłem w Finlandii - rzekł - w Vasa, a raz na Wyspach Alandzkich. Trzy razy w Tromse, raz w Brenneysund i cholernie mnóstwo

razy w Namsos i w Trondheim.

- Właściwie to wielka bzdura - powiedziałem. - Ale w Grecji i we Włoszech, w autobusach i w dorożkach, można często zobaczyć obrazki przedstawiające tego apostoła z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu.

Nie Mateusz. Nie Jan. Nie Piotr naturalnie ani tym bardziej Paweł. Ani Jan, ani Tomasz czy Filip. To jednak musiał być Bartłomiej.

- Coś sobie przypominam, że było ich dwunastu - rzekł Karl Olofsson.

Zrzucił z siebie plecak.

- Norweskie autobusy - ciągnął - są takie jak szwedzkie. Nie ma tam żadnych obrazów świętych i apostołów. Tylko ogłoszenia, że palenie wzbronione.

12

Drzwi chaty zamknięte były na żelazny skobel i mocną kłódkę.

Karl Olofsson na próbę pociągnął kłódkę jedną ręką, lewą.

- Kosztuje z piętnaście koron w sklepie żelaznym - orzekł. - Ale człowiek nauczył się przecież, jak należy postępować. - Pogrzebał w plecaku.

- Potrzeba łomie prawo - powiedział i wydobył siekiere. Wymierzył jedno szybkie, mocne uderzenie. Nie trzeba było więcej, to jedno energiczne stuknięcie starczyło.

Kłódka odskoczyła. Wyjął ją z ucha i podał mi. Była tylko całkiem nieznacznie uszkodzona.

- Człowiek się nauczył - powiedział. Zdjął skobel i otworzył drzwi.

Uśmiechnął się do mnie całą okrągłą twarzą o wąskich wargach i małych oczach.

- To takie proste - powiedział.

Wszedł do sionki. W wewnętrznych drzwiach nie było kłódki, tak że nie sprawiły nam żadnego kłopotu.

Schwytany młodzik siedział apatycznie na ławce pod chatą.

Usłyszałem głos Karla Olofssona: - Całkiem fajna prycza. - Słyszałem też jego kroki i lekko metaliczny i zgrzytliwy dźwięk, gdy manipulował przy urządzeniu zamykającym okiennice.

Potem nagle znalazł się znowu w przedsionku. Stał wyprostowany, niemal przechylony do tyłu, tak jak się to robi, gdy się dopiero co zdjęło z pleców zbyt wielki ciężar. Był żartobliwie poważny.

- W imię tych apostołów Jezusa - rzekł wskazując kciukiem. - Otwórz okiennice!

- Niech się stanie światłość - odparłem i poszedłem za węgiel do szczytowej ściany.

Okiennice po otwarciu trzeba było umocować, do czego służyły zardzewiałe haczyki.

- I stała się światłość - rzekł Karl Olofsson.

- Około jedenastej - dodałem.

- Czyli dwudziestej trzeciej - powiedział i spojrzał w górę, na lekko padający śnieg, na mgiełkę i na nisko leżące nad ziemią ciężkie chmury.

Usłyszeliśmy znowu odległy warkot samolotu, który zbliżał się tym razem od północy. Warkot przybierał na sile, przez chwilę rozlegał się wprost nad nami, a następnie zaczął oddalać się w kierunku południowym. Potem znowu wzmógł się, samolot zrobił wiraż i ponownie skierował się na północ. Aż wreszcie warkot zamarł dość raptownie, prawdopodobnie dlatego, że maszyna wzbija się wyżej w górę, a równocześnie skręciła na zachód i znikła w tymże kierunku. Można by z pewną przesadą powiedzieć, że Karl Olofsson nasłuchiwał warkotu silnika nastawiając uszu. A jego oczy równocześnie szły za dźwiękiem.

Również i nasz więzień, schwytany młodzik, śledził warkot uszami i oczyma. Patrzył najpierw na północ, potem prosto w górę, następnie na południe, a potem znów niemal prosto w górę.

Karl Olofsson słuchał z napięciem. Młodzik słuchał niemal obojętnie, z rozluźnionymi rysami twarzy, nieruchomymi wargami i zastygłymi kącikami ust, z gładkim czołem i rozprostowanymi brwiami.

Człowiek słucha uszami. To stwierdzenie jest ściśle mówiąc truizmem dla kogoś, kto jest wrażliwy na truizmy. Większość ludzi nie potrafi jednak słuchać nie zwracając równocześnie wzroku w stronę źródła dźwięku, którego słuchają.

Istnieje bliski związek między uchem i okiem, słuchem i wzrokiem. Jest w tym coś, co powinno być zbadane i wyjaśnione.

Bardzo prawdopodobne, że pod tym względem jestem człowiekiem wyjątkowym. Mogłem słu-

chać dochodzącego z góry warkotu silnika obserwując równocześnie i nie spuszczać z oka młodzika na ławce przed chatą. - To ciebie szukają - powiedziałem do niego. - Ale w taką pogodę nie mogą nic zobaczyć. - Zamknął oczy i skłonił głowę do przodu a przez to także w dół.

- Nie ma to wielkiego sensu - rzekł Karl Olofsson. - Śnieżyca i w ogóle - dodał. Położył rękę na ramieniu naszego więźnia, pomógł mu wstać.

- W każdym razie niepokoi taki warkot samolotu - rzekłem. - A może nie? Może już nie?

- W tej chwili nie jest już chyba potrzebne żadne niepokojenie - odparł.

Pomógł młodzikowi podnieść się z ławki.

- Może byś tak wlaź do środka - powiedział.

U ludzi typu Karla Olofssona można często spotkać się z dziwnego rodzaju strachem, który szczególnie trudno opisać.

- Może byś tak wlaź do środka - powiedział Karl Olofsson i pomógł wstać schwytanemu przez nas młodzikowi.

- Może chyba, do cholery, wejść do chaty o własnych siłach - wtrąciłem.

Moje słowa były naturalnie prowokacją. Karl Olofsson chwycił mocno naszego więźnia za ramię i na wpół zawlókł, na wpół zaniósł do chaty.

- Do diabła - zaśmiał się i splunął grubym strumieniem śliny przez ramię młodzika - do diabła i w imię wielu apostołów Jezusa!

- Jak już inaczej nie potrafi - odezwałem się - to mógłby wczłogać się do izby. Na łokciach i kolanach.

Na czworakach. Przez przysionek do jedynej w chacie izby. Maksimum dziesięć, dwanaście lub czternaście kroków. Ale Karl Olofsson na wpół zaniósł, na wpół zawlókł go do izby.

Musiałem odskoczyć na bok, żeby uniknąć strugi śliny Karla Olofssona. Nie upadłem, ale osunąłem się na kolana.

Zdjąłem rękawice. Podparłem się rękami, żeby nie upaść; palce pogrzyżyły się w śniegu, śnieg wcisnął się aż na nagie przedramię.

- Mógł, do cholery, dostać się do chaty o własnych siłach - powtórzyłem.

Moje słowa były oczywiście prowokacją. I w gruncie rzeczy nie miały znaczenia. Było najzupełniej obojętne, czy nasz więzień wszedł do chaty sam, czy też pomógł mu w tym Karl Olofsson.

13

Na prawo znajdował się murowany komin z łupkowego kamienia a obok żelazny piecyk, którego zgięta rura wchodziła pod okap kominka. Na lewo stał grubo ciosany stół z ławą i kilkoma małymi stołkami. Na wprost znajdowały się cztery posłania, cztery prycze. Na dwóch można było wygodnie usiąść, dwie pozostałe stanowiły górne prycze.

Na każdej pryczy leżał cienki materac i nieco grubsza poduszka. Na dość cienkim kijku czy też belce biegnącej od jednej ściany szczytowej do drugiej wisiały cztery koce.

Karl Olofsson ułożył młodzika na prawej z dwóch dolnych prycz.

- Fajna prycza - stwierdziłem, ściągnąłem rozwieszane koce i rzuciłem je na jedną z górnych prycz. Zajrzałem do skrzyni obok kominka. Była tam i sucha brzoźowa kora, i naręcze drobno połupanych brzoźowych polan.

Nasz więzień miał na nogach sznurowane buty z wysokimi cholewkami.

Chętnie, a w każdym razie bez sprzeciwu, położył się na wznak na pryczy.

Odwrócił się twarzą do ściany. Karl Olofsson zdjął mu buty. Odwinął prawą, poszarpaną nogawkę.

- Boli? - zapytał.

Nie było odpowiedzi.

Rozpaliłem w kominku; łatwo mi poszło, suchą korą brzoźową i drobno nałupanymi polanami.

- Odwróć się - powiedział Karl Olofsson.

Chłopak odwrócił się wolno, aż legł na brzuchu.

Rozpaliłem także w żelaznym piecyku. Wiem, jak rozniecić ogień w zimnym i rzadko używanym piecyku. Najpierw zapala się zwitek papieru, żeby płomień dostały się w rurę, ogrzały powietrze, wprowadziły je w cyrkulację, stworzyły ciąg. A potem używa się brzoźowej kory i suchych drobno łupanych polan.

Karl Olofsson zsunął skarpetę z prawej nogi naszego więźnia. Kula z mego karabinu musnęła tylko mięsień łydki o jakieś piętnaście centymetrów poniżej stawu kolanowego. Rana postrzałowa. Podałem Karlowi Olofssonowi moją manierkę z wodą. Obmył ranę. Była to rzeczywiście tylko całkiem powierzchowna szrama. Podałem Karlowi Olofssonowi jego plecak. Materiał opatrunkowy znajdował się w jednej z zewnętrznych kieszeni. Mała plastikowa butelka z jakimś smarowidłem.

Nasz młody więzień wzdrygnął się.

- Boli? - zapytał Karl Olofsson.

Tamten nic nie odpowiedział. Karl Olofsson ostrożnie nałożył sterylny kompres na powierzchowną ranę i przewiązał bandażem.

- Jak tam idzie? - zapytałem.

Właśnie roznieciłem ogień w żelaznym piecyku, szumiało i buzowało w rurze, która szybko się rozgrzała i dawała więcej ciepła niż ogień na otwartym palenisku.

- Robi się co można - odparł Karl Olofsson. I dodał: - Choć człowiek jest bardziej policjantem niż pielęgniarką.

- Nic mu nie będzie - powiedziałem.

- Co wiesz o tym smarowidle? - zapytałem Karla Olofssona.

- O smarowidle?

- No tak, w tej plastikowej buteleczce.

Bronił się szerokim uśmiechem.

- Cóż, smarowidło jak smarowidło. Najpierw obmywa się ranę tymi mydlinami, jeśli to są mydliny. A potem kładzie się na ranę sterylny kompres.

- Smarowidła mają działanie zewnętrzne.

- Kicham na ich działanie - odparł niemal wesoło.

14

Zielona wiatrówka Karla Olofssona była trochę za ciasna, opinała się na nim i marszczyła. Nie mógł jej sam zdjąć przez głowę, musiałem mu dopomóc.

- I to ma być praktyczna odzież - rzekłem.

- Najgorsze te naramienniki, cholerny wynalazek - zaklął. Naramienniki były twarde jak kawałki drewna i ozdobione pozłacanymi guzikami i takimiż naszywkami. - Zwłaszcza gdy się niesie plecak - dodał Karl Olofsson. - Mam wtedy ramiona zupełnie poobcierane.

Miałem na myśli głównie wiatrówkę i szary mundurowy kombinezon ze sztywnej bawełny. Był wprawdzie zgrabnie skrojony i Karl Olofsson wyglądał okazale z odblaskową wypustką nad kieszeniami na piersi, szerokim pasem, węższym paskiem przez ramię, kaburą pistoletu zwisającą na lewym biodrze.

- Okazały i męski strój - stwierdziłem - ale niepraktyczny. Odwróć się, Olofsson - dodałem. - Czy nigdy nie odczuwałeś braku u spodni odpinanej klapy z naszego dzieciństwa? Śmiał się długo, ten żart zrozumiał!

Wyciągnął ramiona, przegiął je w tył i wypiął pierś. Powtórzył ten ruch kilka razy, unosząc równocześnie na przemian nogi jak najwyżej. Podczas tych ćwiczeń gimnastycznych nie przestawał się śmiać.

- Można by sądzić, że za młodu grałeś w futbol i inne takie gry.

Kiwnął głową potakująco.

- Teraz chyba nie uprawiasz żadnych sportów prócz strzelania - dorzuciłem.

15

Potem zwróciłem się do młodzika, naszego więźnia.

- Jak się nazywasz? - zapytałem. Nie odpowiedział. Złapałem go za ramię, a on pozwolił się przekreślić na grzbiet. Oczy miał zamknięte.

- Jak się nazywasz? - powtórzyłem. Zupełny smarkacz.

- Ile masz lat? - zapytałem.

Nie odpowiedział.

- Od siedemnastu do dziewiętnastu - rzekł Karl Olofsson. Po chwili zastanowienia dorzucił: -

Może dwadzieścia albo dwadzieścia jeden.

- Ile masz lat? - zapytałem po raz drugi.

Nie odpowiedział.

- Dosyć trudno jest odgadnąć wiek - wtrącił Karl Olofsson.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

Nasz więzień leżał na wznak z zamkniętymi oczyma. Nie odpowiadał.

- Stracił mowę - rzekł Karl Olofsson.

Przysunął stół do pryczy, usiadł, nabił fajkę, zapalił ją z należnym ceremoniałem. Nie uśmiechał się - w każdym razie nie w tej chwili - ale twarz jego była dobronudna, jak często bywają dobronudne twarze prowincjonalnych policjantów.

- Nie miałeś żadnej szansy, że się wymkniesz - rzekł.

Było to stwierdzenie.

- Czekaliśmy tam na ciebie.

I to też było stwierdzeniem.

- Wykalkulowaliśmy sobie, że tam przyjdiesz.

Ssał fajkę.

Młodziak leżał na grzbiecie z zamkniętymi oczyma i pustą twarzą.

- Ja się nazywam Olofsson. - Karl Olofsson wskazał na mnie cybuszkiem fajki: - A ten, on się nazywa Stensson. Jest nauczycielem.

Mówił spokojnie, bez pośpiechu. Siedział na stołku pochylony do przodu, opierając łokcie o kolana.

- Skąd przychodzisz? - zapytał.

W jego pytaniu brak było intensywności. Nie domagało się ono odpowiedzi.

- Gdzie mieszkasz?

Młodziak milczał. Karl Olofsson dłużył w fajce.

- Dlaczego strzelałeś?

To nie było pytaniem.

- Dlaczegoś to zrobił? Dlaczego strzelałeś?

I to też nie było pytaniem.

Nasz więzień leżał na wznak z zamkniętymi oczyma.

- Dlaczego właściwie strzelałeś?

To już było pytaniem, ale jeszcze nie prawdziwym pytaniem. W tonie Karla Olofssona nie było żadnej ostrości, żadnego autorytetu.

Nastąpiła chwila milczenia. Ogień na kominku strzelał i trzeszczał, w rurze żelaznego piecyka buzowało i szumiało.

- Nie miałeś żadnej szansy, żeby się wymknąć - ciągnął Karl Olofsson. - Wiedzieliśmy, że tam przyjdiesz, i czekaliśmy na ciebie.

- Daj już spokój, Kalle - powiedziałem.

Podszedłem do stołu i wyjrzałem przez jedyne okno chaty.

- Zaczyna się ściemniać - rzekłem. - Zaczyna się robić wieczór.

Złapaliśmy tego, którego mieliśmy złapać. Leżał teraz na łóżku i zdawał się wpatrywać w sufit zamkniętymi oczyma.

- Jestem głodny - odezwałem się. Znalazłem dwie szklanki. - I mamy trochę za mało drzewa w skrzyni - dodałem.

Wydobyłem butelkę wódki z plecaka i nalałem po łyku do obu szklanek.

- Czy jesteś na służbie? - zapytałem Karla Olofssona.

Wziął ode mnie szklankę.

- Właściwie jesteśmy chyba obaj na służbie - odparł. - I ty, i ja.

Postawił pustą szklankę na stole.

- Nikt nie przypuszczał, że tak łatwo będzie go złapać.

- Uhm.

- Do licha - dorzucił - tak cholernie łatwo!

Krażył za moimi plecami.

- Do diabła - powtórzyl i wybuchnął śmiechem.

Uderzył mnie mocno zaciśniętą pięścią w plecy i wyszedł z chaty z siekierą w ręku.

Przy drzwiach stała druga siekiera. Była dość ciężka i miała niepotrzebnie długi trzonek. Wziąłem ją do jednej ręki, a do drugiej plastikowe wiaderko.

Karl Olofsson śmiał się niemal swawolnie i zonglował swoją siekierą.

- Pora na następny skok - powiedział i poszedł do drewni.

Zszedłem do jeziora i wyrąbałem dziurę w lodzie - łatwo mi poszło - po czym napełniłem wiaderko wodą.

Karl Olofsson w dalszym ciągu śmiał się cicho, gdyśmy się spotkali na małym placyku przed chatą. Niósł na ramieniu duże narzędzie drewniane.

- Las pełen drzewa - powiedział.

Postawiłem wiaderko na stoku. Napilem się wody z czerpaka; była lodowata, drętwiała od niej zęby i mogłem ją pić tylko małymi łydkami.

Karl Olofsson stanął tuż przy mnie. W czerpaku było może pół litra wody.

Chlusnąłem mu nią w twarz. Usiłował mnie kopnąć, ale złapałem go za nogę i upadł na śnieg. Rzucił się w pościg za mną. Biegłem zygzakiem między pniami drzew. Nie jestem taki silny jak on, ale szybszy i ruchliwszy. Na przemian śmiał się i kaszłał. Miał otwarte usta i dużo wody wpadło mu do tchawicy.

Nigdy by mu się nie udało mnie złapać, gdybym się nie potknął. Rzucił się na mnie, runąłem jak długi, usiadł mi okrakiem na piersi i ścisnął mi ramiona kolanami. Narzucił mi śniegu na twarz i tarł mi nim nos, uszy i usta.

Można by starać się wytłumaczyć ten nagły wybuch ochoty do zabawy. Nie zamierzam próbować. Zaczęło się od tego, że chlusnąłem mu w twarz połową zawartości czerpaka lodowatej wody.

Można by też starać się wytłumaczyć, dlaczego Karl Olofsson tak często wybuchał śmiechem lub też rozciągał kąciki ust w szerokim uśmiechu.

To właśnie w tę śmiejącą się i uśmiechniętą twarz chlusnąłem pół czerpaka wody. Wygląda to na wynik głębokiego przemyślenia. A to tylko coś, co ot tak wpadło mi nagle do głowy. Otrzepliśmy się ze śniegu miotełką, która wisiała przed drzwiami. Pomagaliśmy sobie przy tym nawzajem.

Policzki mnie paliły, a po grzbiecie ciekł mi strumyczek stopionego śniegu.

Karl Olofsson pozbiierał rozsypane drwa, ja wszedłem do izby.

Nasz młody więzień leżał na wznak, tak jak go zostawiliśmy. Musiał słyszeć nasze igraszki, nasz śmiech i nawoływania. Stanąłem na środku izby i postawiłem wiaderko z wodą. Nie patrzył na mnie. Wyrzebałem z kieszeni paczkę papierosów.

- Może chcesz zapalić? - zapytałem. Nie poruszył się.

Paczka papierosów była dość wymiętoszona i trochę zwilgotniała od śniegu.

17

W chacie zrobiło się ciepło, niemal gorąco. Zdjęliśmy gumowe buty i włożyliśmy suche skarpetki, naznosiwszy wpięty jeszcze parę narzędzi drewnianych.

Nie pierwszy to raz byliśmy razem w terenie, przywykliśmy do siebie nawzajem i szybko przygotowaliśmy wszystko na wieczór i na noc. Karl Olofsson przybił do futryny koc, by zasłonić okno, ja zapaliłem lampę naftową, on porozwieszał skarpety i wierzchnią odzież do suszenia przy kominie, ja otworzyłem puszkę konserwowej brązowej fasoli, on pokroił resztę bekonu na cienkie platy, ja usmażyłem je na patelni, on poustawiał na stole talerze, sztucce, masło, ser, bochenek chleba, puszkę sardynek. Byliśmy głodni. Zapach smażonego bekonu sprawiał, że ciekła nam ślinka; musiałem często spluwać w kominek.

- Jak psy Pawłowa, mniej więcej - powiedziałem.

- Mamy jeszcze puszkę piwa - odrzekł Karl Olofsson.

- Psy Pawłowa - wyjaśniłem. - Rosjanie używali ich dawniej do polowania na dzikie króliki.

Zasiedliśmy do stołu. Karl Olofsson ustawił nakrycia dla trzech osób.

- To była delikatna rasa. Te psy miały skłonności do przetoki żołądka.

- Jaka rasa?

- No te psy Pawłowa.

Otworzyłem puszkę sardynek. Karl Olofsson nałożył na każdy z trzech talerzy sporą chochlę fasoli.

- Zasłużyliśmy sobie na jednego - powiedziałem wyjmując butelkę. - Jesteś na służbie, Kalle?

- To kwestia do dyskusji - odparł i wyjął z plecaka butelkę czystej. - Najlepiej znoszę czystą - dodał.

W szafce znalazły się kieliszki.

- To tych facetów ze spółki leśnej - wyjaśnił. Podniósł kieliszek w górę.

- No to na zdrowie! Czy jak to się mówi, do cholery. - Potem zwrócił się do młodzika leżącego na prawej dolnej pryczy. - Dla ciebie też nakryto do stołu.

- Tamten nic nie odpowiedział - Musisz przecież być głodny.

- Może bekon z fasolą nie należy do jego ulubionych potraw - powiedziałem.

Karl Olofsson wstał i zaniósł mu na pryczę talerz i widelec. Nasz więzień śledził go wzrokiem, ale się nie poruszył. Ramiona miał skrzyżowane na piersi.

- Musisz być głodny. Przecież musisz być głodny! - Najpierw podsunął mu talerz, a następnie postawił talerz na stołku przy łóżku. Po czym wrócił do stołu. Zabraliśmy się do jedzenia.

- Kto ma mało na stole, ten gościa nie niewoli - mawiała moja babka - odezwałem się. - Tak mówiono w owych czasach, kiedy wszyscy byli ubodzy, niemal wszyscy.

- Chłopak powinien coś zjeść - rzekł Karl Olofsson. - Co się tu boczyć.

- To tylko kwestia czasu - odparłem. - Pewnie jeszcze nie jest głodny.

No co, golniemy jeszcze po jednym?

- Już po wszystkim - rzekł Karl Olofsson. - Mamy go. I poszło dużo łatwiej, niż można się było spodziewać.

Ja trzymałem się swojej butelki.

- Najlepiej mi służy pieprzówka - oświadczyłem.

Właśnie wtedy młodzik leżący na łóżku wyrzekł pierwsze słowa.

- Marznę - powiedział. - Zimno mi.

Miał zadziwiająco dźwięczny głos.

Karl Olofsson podniósł się od stołu, wziął jeden z koców i przykrył nim chłopaka. - Jasne, że marzniesz - wymamrotał z ustami pełnymi jedzenia - przecież jesteś głodny.

- Trzeba mu tylko trochę ciepła - powiedziałem i wychyliłem kieliszek wódki.

- Jest tu teraz co najmniej dwadzieścia stopni.

Ale on był kiepsko ubrany i w przemoczonej odzieży. Można też marznąć z innych powodów niż te zwykle, zewnętrzne. Na przykład mieć dreszcze. Albo dlatego, że człowiek całkiem po prostu boi się; zimne ciarki chodzą po grzbiecie, marznie się ze strachu. A ponadto trzeba wpierw przeżuć jedzenie, zanim się zacznie mówić. Tak jest przyjemniej.

Młodzik owinął się starannie kocem. Był to długi koc, mógł go sobie owinąć koło stóp i sięgał mu aż do brody. Koc był ciemnoszary. Twarz młodzika była biała. Poduszka pod jego głową była jeszcze bardziej ciemnoszara niż koc.

Karl Olofsson dorzucił do ognia kilka polan i pogrzebał w żarze pogrzebaczem.

Pogrzebacz to w tym wypadku złe słowo. Był to żelazny drążek, kawałek okrągłego zbrojeniowego żelaza, co najmniej siedemdziesiąt centymetrów długi i co najmniej na cal gruby. Ten drążek, pogrzebacz, był ciężki, ważył z pewnością około dwóch kilogramów.

Karl Olofsson usiadł znowu naprzeciwko mnie i uśmiechnął się, wysuwając brodę do przodu. Oczy miał przymrużone i kilka poziomych zmarszczek między brwiami.

- Jasne, że powinno się wpierw przeżuć jedzenie, nim się zacznie mówić - powiedział.

- To był tylko taki żart - odrzekłem.

- Ale masz rację mówiąc, że nie należy gadać z pełnymi ustami - ciągnął. - To kwestia wychowania. Rozumiesz?

- Ten jego głos - wtrąciłem. - Czyś się spodziewał takiego dźwięcznego głosu? Jak u dziewczyny, a jednak niezupełnie jak u dziewczyny.

- Jużes wypił? - podniósł kieliszek.

- Tu w chacie musi być ponad dwadzieścia stopni - stwierdziłem. Żelazny piecyk grzał, było jak w łaźni. Obaj odczuwaliśmy zmęczenie, zrobiliśmy kawał drogi, nie spaliśmy poprzedniej nocy więcej niż godzinę.

- Jeśli chodzi o to - odezwał się Karl Olofsson - to chyba i przedwczoraj w nocy spaliśmy niewi-

ele godzin.

Wychylił kieliszek.

- Najbardziej lubisz czystą?

- Już taki brzydki nałóg - odparł.

Poprawił go: - To nie brzydki nałóg, tylko brak nawyku do napitków korzennych. Nałóg to słowo niejasne.

- Mocno się wtedy zawiąłeś - powiedział śmiejąc się cicho.

On, Karl Olofsson, był jeszcze bardziej zawiąany niż ja. Już o tym zapomniał, a może nawet o tym nie wiedział.

Nasmarował dwie kanapki. Na jednej położył gruby plaster sera, na drugiej dwie sardynki, które rozduśił widelcem.

Zimnica, marznięcie, choć się właściwie nie marznie, to szwedzka nazwa malarii. Czy wie o tym, że ledwie sto lat temu, ba, nawet mniej niż sto lat, wiele tysięcy ludzi zapadało co roku na malarię tu w Szwecji? I z pewnością tyleż samo w Norwegii i Finlandii, nie mówiąc już o północnych częściach Rosji i Syberii. Ale malaria znikła, nikt nie wie dlaczego. Komary, które ją roznosiły, istnieją nadal, ale malaria znikła. Medyczna zagadka.

Karl Olofsson nie słuchał.

- Że też tak łatwo udało się go złapać - powtarzał. - Kto by mógł pomyśleć, że to będzie takie łatwe!

Siedział pochylony do przodu opierając się obu łokciami na stole. Zlepione potem włosy zwisały mu na czoło. Zarost na policzkach, brodzie i szyi ściemniał. Na górnej wardze zarysowywały się już kontury wąsika.

- Zastanowić się i wyliczyć sobie - rzekłem.

Odgryzł duży kęs chleba z serem. - Kto by mógł przypuścić, że tak cholernie łatwo będzie go złapać. - Potem wypił resztę piwa, skończył kanapkę, przełknął, oczyścił usta językiem, uśmiechnął się.

Już wiedział. Nie należy mówić z pełnymi ustami.

- Że też tak łatwo udało się go złapać.

18

W chacie robiło się coraz cieplej.

Rozpiąłem koszulę i zakasałem rękawy. Rura żelaznego piecyka rozgrzała się do czerwoności w dolnej części, mimo że zamknęliśmy całkowicie szyber.

Ogień na kominku dawał światło i ciepło.

Sytuacja nie była nowa ani dla mnie, ani dla Karla Olofssona: człowiek zrobił kawał drogi w terenie, wiele mil, jest głodny i zmęczony, dociera do chaty, rozpala ogień, rozkoszuje się ciepłem, poczuciem, że odzież wysycha, że może włożyć suche pończochy czy skarpetki, najeść się dobrze i dużo, wypić łyk wódki lub koniaku. Odczuwa się zmęczenie przede wszystkim w nogach, w plecach i przedramionach. Czuje się zmęczenie jak rwący ból w zębie, jak rytmiczne, słabe tętnienie w żyłach. Odczuwa się to zmęczenie jako coś przyjemnego, coś miłego.

- Tamci nie mają nawet bladego pojęcia, gdzie my jesteśmy - rzekł Karl Olofsson.

- Uhm.

- I nie wiedzą, żeśmy go złapali.

- Nikt jeszcze nie wie - przyznałem.

- Z tym zmęczeniem... - bąknął - kiedy dociera się do chaty i jest się tak cholernie zmęczonym...

- Aha! Przyjemnie? Prawda, przyjemnie?

Uśmiechnął się swoim zwykłym uśmiechem.

Wziął do ręki pustą puszkę po fasoli. - Cztery porcje - przeczytał.

- Zjedliśmy ponad trzy - odparłem. - Smakowało, prawda? Reszta jest tam na talerzu. U niego. Fasola wystygła i pokryta jest zaschniętą skorupą, dość nieapetyczna. On nie chce jeść.

- Nie - potwierdził Karl Olofsson.

- Nie jest głodny - dorzuciłem. - Odmowa jedzenia stanowi dowód, że jego głód nie osiągnął jeszcze właściwego natężenia.

- Tamci - rzekł Karl Olofsson - tamci nie wiedzą nawet, gdzie jesteśmy.

Wkrótce potem nasz więzień, złapany młodzik, odezwał się po raz drugi.

- Mogę dostać trochę wody?

Leżał w dalszym ciągu na wznak mając ciemnoszary koc podciągnięty pod brodę.

- Co takiego? - zapytał Karl Olofsson.

- Trochę wody.

Karl Olofsson wstał, podszedł do wiadra, nabrał wody czerpakiem i krótkimi krokami przeszedł przez izbę do pryczy młodzika. Ten zaczął pić.

Karl Olofsson przysiadł na pryczy.

- Jesteś ze Sztokholmu? - zapytał.

Młodzik spojrzał na niego i nie odpowiadając pił dalej. Ostrożnie, tak jak koń pije ostrożnie, gdy zimową porą dostanie wiadro wody, do którego gospodarz włożył wiązkę słomy lub siana.

- Mam pragnienie - powiedziałem.

- Ile ty masz lat właściwie? - zapytał Karl Olofsson.

Młodzik, nasz młody więzień, naturalnie nic nie odpowiedział. Pił ostrożnie i wolno zimną wodę z czerpaka.

- I jak się nazywasz? - pytał Karl Olofsson. Pytanie rzucone ot, tak sobie. W tych pytaniach nie było żadnej ostrości, żadnego autorytetu, nic z przesłuchania, nic, co by odzwierciedlało stan faktyczny, a mianowicie fakt, że leżący na łóżku młodzik był złapany i że to my, Karl Olofsson i ja, złapaliśmy go. Nie odpowiadał.

- Skąd przyszedłeś? - rzekł znowu Karl Olofsson i zapalił fajkę. Żadnego gwałtu, żadnego pośpiechu. Mieliśmy przed sobą wieczór, nadchodzącą noc, następny ranek. - Skąd pochodzisz? Gdzie mieszkasz?

Młodzik oddał czerpak. Ugasił już pragnienie. Położył się znowu na grzbiecie, podciągnął koc pod brodę.

Karl Olofsson siedział pochylony do przodu, opierając się łokciami o kolana, ssał fajkę, wydumchiwał małe obłoczki sinego dymu.

- Coś się tak zawzięł, do cholery, by nie otwierać pyska? - zapytał życzliwie.

Młodzik leżał na wznak. Podciągnął koc aż pod szyję. Milczał.

- Mam pragnienie - wtrąciłem.

Karl Olofsson zaśmiał się cicho; wstał, przeszedł krótkimi krokami przez izbę i wylał resztę wody z czerpaka z powrotem, do plastikowego wiadra.

Nawet zimową porą, gdy śnieg i lód są w zasięgu ręki, ma się powody, by oszczędnie obchodzić się z wodą.

W chacie robiło się coraz cieplej. Żelazny piecyk rozżarzył się do czerwoności. Ogień na kominie szerzył ciepło i żar.

- Można odczuwać ciepło i żar jak swego rodzaju zmęczenie.

- Masz rację, cholera - przyznał Karl Olofsson.

- Rytmiczne rwanie w ramionach i nogach. I rytmiczne dudnienie w sercu, uszach i żyłach.

- Aha - zgodził się Karl Olofsson.

- Rozkosznie jest być zmęczonym i wiedzieć, że za chwilę można wyciągnąć się na łóżku i spać. Rozkosznie jest być zmęczonym, wiedzieć, że za chwilę można położyć się do łóżka - i z tą świadomością siedzieć dalej na twardym stołku przy stole, wiedząc na pewno, że w każdej chwili można położyć się na dość miękkim łóżku, jako tako otuliwszy się ciepłym kocem.

- No nie?

- Tak. Oczywiście.

- Tamci - powiedziałem - wszyscy pozostali nie mają nawet bladego pojęcia, gdzie my jesteśmy.

- Ani żeśmy go złapali - dorzucił Karl Olofsson. Spojrzał na zegarek. - Powinniśmy byli wziąć z sobą radio. Tranzystorek. Akurat pora na komunikaty.

Chętnie by człowiek posłuchał. Tranzystor nie waży prawie nic, prawie nic.

- Nazwisko i wiek - rzekł Karl Olofsson. - To pierwsza rzecz. I gdzie się urodzili, i gdzie mieszkają.

- Pierwsza rzecz?

- Trzeba wiedzieć, kim oni są albo kim on jest. Stwierdzić identyczność.

- O co ci chodzi?

- Trzeba wiedzieć, kogo się ma przed sobą.

- Jak można wiedzieć? Z absolutną pewnością?

- Istnieją reguły - odparł Karl Olofsson. - Nazwisko, data urodzenia, gdzie urodzony. Jak się to wie, sprawa jest jasna. Wtedy wie się, z kim ma się do czynienia.

- Wie się?

- Tak.

- Identyczność - powiedziałem - to określenie, które pozostaje w związku ze znaczeniem łacińskiego słowa „idem”.

- Do diabła - rzekł Karl Olofsson. - Nie jestem żadnym łacinnikiem, jestem tylko policjantem.

- To się nazywa Rzymianin. A nie łacinnik.

Nalał wody do imbryka i postawił go na żelaznym piecyku.

- Policjant - ciągnąłem - to nie jest słowo łacińskie, tylko greckie. Tak mi się zdaje.

Karl Olofsson zdjął pas, szeroki skórzany pas z węższym paskiem biegnącym przez ramię. Powiesił go na jednym z drążków czy też listew przybitych w poprzek izby od zachodniej ściany szczytowej do wschodniej.

Kabura pistoletu wisiała na pasie głównym. Karl Olofsson wyjął z niej broń i wsunął pistolet do tylnej kieszeni spodni.

Rozpiął górne guziki kombinezonu. W chacie zaczęło się robić naprawdę gorąco.

Nóż myśliwski miał umocowany przy lewej kieszeni na piersi, mniej więcej tak, jak nosi nóż stolarz czy cieśla. Wystarczyło rzucić okiem na ten nóż, by wiedzieć, że zrobił go kowal Falk albo jego równie biegły w kowalskim rzemiośle syn, który obecnie osiedlił się w Geddede. To znaczy oczywiście, jeśli wiedziało się coś niecoś o różnego rodzaju nożach myśliwskich i o właściwościach, które odróżniają jeden nóż od drugiego.

- Żeby się dowiedzieć, kim jakiś człowiek jest - powiedziałem - trzeba wiedzieć, gdzie on czy ona się urodzili. I kiedy.

- Uhm.

- Czy to rzeczywiście wystarczy?

- Kicham na to - odparł Karl Olofsson.

Obaj byliśmy bardzo zmęczeni.

21

Karl Olofsson wziął jeden z czterech znajdujących się w chacie kocy i rozpostarł go na podłodze. Koc był ciemnoszary. Wystukał fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił ponownie. Nie przejawiał żadnego pośpiechu ani przejęcia.

Rozwiązał plecak młodzika, wywrócił go dnem do góry i wysypał jego zawartość na koc.

Wełniany sweter. Odrzuciłem go na bok. Gruby szal i kłębek grubego sznurka. Również i to odrzuciłem. Butelka z odrobiną mleka. Karl Olofsson odkręcił zakrętkę. Mleko cuchnęło.

- Kwaśne - stwierdził. - Ma już co najmniej tydzień. - Obejrzał magazynek pistoletu maszynowego pod światło lampy naftowej. - Pełny - stwierdził. Ułożył przed sobą na kupkę co najmniej tuzin naboń.

Bochenek szczerstwiającego chleba i plastikowy woreczek z pokruszonym chrupkim chlebem. Małeńka maselniczka.

Para zniszczonych gimnastycznych pantofli. Dwa plastikowe kubki. Paczka zapalek. Kamień do ostrzenia. Mały młotek ze stalową rękojeścią. Kilka chusteczek związanych sznurkiem. Para kąpielówek.

- Kąpielówki w listopadzie - powiedziałem. - Dreszcz mnie przechodzi.

Mocne obcęgi. Czasem dobrze jest mieć tnące obcęgi. Dwa brudne ręczniki. Duży pęk kluczy. Trzy wytarte kocy. Sześć puszek konserw, z których największa cięższa niż pięć pozostałych razem. Była ona prostokątna i zawierała „Syltelabber”.

- Świńskie nóżki w galarecie, norweski produkt - skomentował Karl Olofsson.

Kompas. Woreczek miążkiego cukru. Pęknięta paczka mąki pszennej. Kilka skarpetek. Brudna i zmięta koszula. Cienka wiatrówka. Czerwona wełniana czapeczka. Mydło owinięte w gazetę. Maszynka do golenia. Zardzewiały scyzoryk.

Przedmiot po przedmiocie. Karl Olofsson robił zapiski w notatniku.

Mnóstwo sensownych albo bezsensownych drobiazgów. Na przykład kamyk.

Karl Olofsson zważył go w rękę, a następnie podał mnie. Był to płaski, niemal całkiem okrągły kamień. Nosić płaski kamień w plecaku!

Patrzyłem ma kamień. Dlaczego nie miałyby się nosić z sobą kamieni przez życie? Karl Olofsson zaśmiał się cicho. Upuściłem kamień, spadł miękko na koc.

Mały płócienny woreczek soli. Dwie paczki rodzyneków. Dwie paczki dzieciennego kleiku firmy Findus. Jeszcze jeden scyzoryk, większy niż pierwszy, ale nie taki zardzewiały. Dwa zwitki suchej kory brzozonej.

Młodziak przekręcił się na bok i patrzył na nas szeroko otwartymi ruchliwymi oczyma. Od czasu do czasu dotykał zranionej nogi. Twarz jego nie była już całkiem pusta. Widać na niej było przeblask czegoś, co należało określić jako ciekawość.

Karl Olofsson wyłuskał duży blok papieru, wetknięty i do połowy ukryty w kieszeni plecaka. Wziąłem go od niego.

- On jest nauczycielem ludowym - wyjaśnił Karl Olofsson zwracając się do młodzika.

Ale to przecież my szukaliśmy wyjaśnień, uściśleń, faktów - a nie on, ten młodzik.

Całkiem zwykły notatnik w formacie znormalizowanym. Górna część pierwszej kartki wypełniona była zupełnie nieczytelnymi zapiskami, robionymi długopisem.

- Nieczytelny charakter pisma - stwierdziłem.

Dolna część tej stronicy była w taki sam sposób pokryta niezrozumiałymi notatkami, poszczególnych liter nie można było od siebie odróżnić, słowa zachodziły jedno na drugie. Pośrodku strony wypisane były drukiem trzy w pełni czytelne litery: PKO - trzy wyraźnie wypisane drukowane litery. Na samym dole po prawej stronie znajdowała się jeszcze jedna czytelna notatka, data „11 sierp.”. Po tej dacie następował rok, którego cyfry jednak trudniejsze były do odszyfrowania. Mogło to być 1958, ale równie dobrze mogło to być 1938. Liczne pozostałe strony notatnika były nagie i puste.

- Same nie zapisane kartki - powiedziałem.

- On jest nauczycielem ludowym - powtórzył Karl Olofsson.

Podąłem mu blok. Wziął go ode mnie. Przelotnie, bez zainteresowania rzucił okiem na zapiski na pierwszej stronie.

Nasz więzień nie mówił nic. Znowu osunął się na plecy, podciągnął koc pod brodę. Na jego twarzy można było dostrzec coś, co było chyba nie tylko śladem ciekawości, ale także i śladem uśmiechu.

- No nie? Karlu Olofssonie?

Płomień naftowej lampy zachybotał właśnie w tym momencie, skurczył się, zamigotał, zmałał, powoli zgasł. Wąskie pasemko dymu wiło się od szkiełka lampy do powały, wyraźnie widoczne w świetle ognia na kominku.

Zdjąłem lampę, postawiłem ją na stole. Sparzyłem się o szkiełko, więc splunąłem na palce. Karl Olofsson znalazł małą blaszankę nafty w kąciaku między murowanym kominkiem i drewnianą ścianą chaty.

Pozostawił liczne przedmioty i rzeczy z plecaka naszego więźnia tak, jak leżały na szarym kocu. Związał na krzyż przeciwległe rogi koca, potem dwa pozostałe.

- Fajny tobolek - powiedziałem.

- Ciężki, dosyć ciężki - odparł.

- Nafty mamy niedużo - stwierdziłem. - Tylko trochę na dnie bańki.

Wystarczy może na godzinę albo i nie wystarczy. Może nawet nie na całą godzinę. A noc będzie długa.

- Nie martw się - rzekł i zaczął grzebać w zewnętrznej kieszeni swego plecaka. Po chwili położył

na stole trzy ogarki świecy. - Było się przecież harcerzem - powiedział.

- Byłeś harcerzem?

- Nie - odparł śmiejąc się. - Nigdy nie byłem harcerzem.

Obaj byliśmy bardzo zmęczeni.

Imbryk z kawą zabulgotał na kuchence. Karl Olofsson wyjął dwa kubki ze spiżarki czy też szafki. Postawił imbryk na stole. Usiadł i zaraz znowu wstał, by przynieść jeszcze jeden kubek.

- Chcesz kawy? - zapytał.

Nasz więzień, ten młodzik, który leżał na prawej dolnej pryczy nie odpowiedział.

Kto ma mało na stole, gości nie niewoli.

Karl Olofsson wstał jeszcze raz od stołu. Podeszedł do leżącego na wznak więźnia. - Słuchaj no - powiedział. - Mogę zobaczyć, co ty tam masz w kieszeniach? - Ściągnął z niego koc. Obmacał kieszenie w spodniach, przednie i tylne. Młodzik pozwalał na to, dawał się obszukiwać, nawet pomagał w tym unosząc w górę biodra.

Karl Olofsson znalazł przy nim tylko cienki portfel i brudną chusteczkę do nosa.

Wyciągnąłem rękę i Karl Olofsson podał mi portfel. Był niemal całkiem pusty. Znajdowały się w nim dwa paragony ze spółdzielni, zeszytik znaczków pocztowych i kilka szwedzkich i norweskich banknotów o łącznej wartości nie przekraczającej pięćdziesięciu koron.

Karl Olofsson stał oparty o stół pozwalając mi przeszukiwać portfel.

- Nic z jego nazwiskiem? - zapytał.

- Nawet prawa jazdy - odparłem.

- Nic?

- Nic - odrzekłem. - Nasz przyjaciel podróżuje incognito.

Można chyba uznać za coś znamiennego, że Karl Olofsson pozwolił mi przeszukać portfel.

- Właściwie czy nie powinienesz być zrewidować go od razu na bagnie? - zapytałem. - Nie był to twój obowiązek?

Karl Olofsson usiadł znowu przy stole i nic nie odpowiedział.

- Musimy oszczędzać kawę, niewiele nam jej zostało - rzekł tylko. Potem zwrócił się do młodzika: - Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, jak się nazywasz. Nic w tym przecież groźnego.

Nieomal go prosił.

- Albo ile masz lat?

Naturalnie nie dostał żadnej odpowiedzi.

- Nie ma sensu go prosić - powiedziałem. - On nie będzie jadł, dopóki dostatecznie nie zgłodnieje. I będzie milczał, dopóki nie nabierze ochoty do mówienia. - Karl Olofsson nalał kawy. - Właściwie to żadna sztuka skłonić go do mówienia - ciągnąłem. - Byle tylko chcieć.

Naturalnie i to moje twierdzenie było prowokacją. Jego uśmiech nagle zgasł, spojrzał na mnie spođe łba.

- Tak, to prawda - powiedział.

- Byłoby trudniej karmić go siłą - ciągnąłem.

- Nie spieszy nam się.

- Kto mówi o pośpiechu?

- W każdym razie złapaliśmy go.

Jego głos brzmiał trochę niepewnie.

Nie, nie spieszyło nam się wcale.

- Z natury jestem ciekawy - rzekłem - ale mam też dużo cierpliwości. - I powtórzyłem: - Nie byłoby trudno skłonić go do mówienia. Byle tylko chcieć.

23

Kawa zdążyła ostygnąć. Mimo to wziąłem butelkę Karla Olofssona i nalałem sobie do kubka kapińkę wódki.

- Kilka kropel jeszcze się chyba wytrzyma - powiedział i podsunął mi swój kubek.

Nasz więzień położył się na lewym boku. Oddychał spokojnie i wolno.

Spał. Karl Olofsson usiadł okrakiem na ławie, na wpół zwrócony do mnie, na wpół w stronę śpiącego. W chacie było ciepło. Byliśmy bardzo zmęczeni.

- Właściwie człowiek się spodziewał, że to będzie ktoś inny, nie akurat on.

- A dlaczego? - zapytałem.

- To przecież jeszcze chłopak.

Czego on się spodziewał?

- Strzelał bez powodu i zabił trzech! I to jeszcze tylko chłopak.

- Jesteś sentymentalny, Kalle - rzekłem.

- E tam, pleciesz i pleciesz - zachnął się.

- Ludzie, którzy dużo mówią, są także potrzebni. Karl Olofsson wstał, lekko czknął i wyszedł z chaty.

Drzwi starannie zamknął za sobą.

Ja też wstałem, podszedłem do młodzika. Ściągnąłem mu koc do pasa.

Leżał na lewym boku, jedna jego ręka zwisała luźno poza pryczą z lekko zgiętymi palcami. Twarz miał bladą i wychudłą. Dość wydatny nos. Wargi nie wąskie, ale pełne i wyraźnie zarysowane. Broda nie spiczasta, lecz szeroka.

Zarost wydawał się ciemniejszy niż poprzednio tego samego dnia. Długa, żylasta szyja. Jego czarny wełniany sweter był cienki i wytarty; prawdopodobnie także brudny. Barki miał szersze i potężniejsze niż Karl Olofsson. Ramiona wcale nie takie szczupłe; to ich długość wywoływała złudzenie szczupłości - były muskularne, kanciaste i twarde pod rękawami swetra.

Karl Olofsson wrócił do chaty wnosząc z sobą powiew zimnego wiatru i kłęb śniegu. Zapiął guziki u spodni i otrząsnął się.

- Wiatr i śnieg - oznajmił.

- To się zaczęło już ponad godzinę temu - odrzekłem.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O tym obcym - odparłem.

- To jeszcze zupełny szczeniak - stwierdził.

- Ale też zupełnie obcy - rzekłem.

Skarpetki Karla Olofssona były białe od śniegu. Śnieg topniał szybko i zabarwiał je na ciemno. Idąc Karl Olofsson zostawiał za sobą ciemne wilgotne ślady na deskach podłogi.

- On już nie jest taki młody, jak ci się zdaje - napomknąłem. - Czasem człowiek daje się oszukać.

Karl Olofsson dorzucił kilka polan do ognia i pogrzebał w nim pogrzebaczem, który nie był pogrzebaczem, tylko drążkiem zbrojeniowego żelaza. Staliśmy cicho przez dość długą chwilę na środku izby, tuż obok siebie, i patrzyliśmy na naszego śpiącego więźnia.

- Ten to umie spać - odezwałem się. - Potrafi leżeć całkiem spokojnie i spać jak dziecko.

Karl Olofsson usiadł na jednym ze stołków i patrzył na przemian to na mnie, to na młodzika. W dłoni trzymał ugniecioną kulkę śniegową, którą potem upuścił na podłogę.

- On nie śpi - rzekł w końcu.

- Nie śpi?

- Nie. Tylko udaje. - Czasem człowiek daje się oszukać. Spójrz na jego szyję - ciągnął Karl Olofsson - zwłaszcza na grdykę.

- No?

- Czasem przełyka ślinę - mówił Karl Olofsson. - Człowiek śpiący nie przełyka. Kiedy się zbudzi, nie można tego nie robić, musi przełykać, samą ślinę tylko, ale musi przełykać przynajmniej raz na trzy minuty lub coś koło tego. Ten chłopak nie śpi, tylko udaje.

- Pozwól mu udawać, do diabła! - odrzekłem.

Staliśmy obok siebie i patrzyliśmy na niego. Ogień na kominku rozgorzał i wypełnił chatę intensywnym światłem.

Chłopak, młodzik, leżał odwrócony w stronę izby. Twarz miał odprężoną, nieruchomą, a jego lewe ramię zwisało, tak samo odprężone i nieruchome, poza pryczą. Palce miał lekko zgięte. Odychał jak człowiek śpiący. Spokojnie i wolno. Wciągał powietrze przez nos i może także w pewnej mierze przez wąską szparę między wargami. Klatka piersiowa podnosiła się, nie bardzo, ale całkiem wyraźnie. Zatrzymywał wciągnięte powietrze w płucach przez jedną lub dwie sekundy. Wydychanie wydawało się nieco gwałtowniejsze niż wdychanie; nozdrza rozszerzały się i wargi jakby rozchylały się nieco. Po wydechu następowała pauza, która musiała trwać przez cztery lub pięć sekund, zanim zaczynał się następny wdech.

Właśnie w taki sposób oddycha człowiek, który śpi.

- Ale on przełyka - rzekł Karl Olofsson. - Kto śpi, nie przełyka; kto śpi na dobre, nie przełyka.

- I jeszcze jedna rzecz - wtrąciłem - drobiazg tylko.

Karl Olofsson oddalił się o parę kroków ode mnie, przeciągnął się, odkaszlnął, przyglądał dłońią włosy, splunął w płomień na kominku, wydobyl z kieszeni fajkę.

- Co takiego? Jaki inny drobiazg, jaka inna rzecz?

- Bagatelka - odparłem.

- Jaka bagatelka?

- No cóż - rzekłem - leży już w łóżku od czterech czy pięciu godzin.

- No i?

- Przyglądałem mu się - ciągnąłem - to tylko bagatelka, ale faktem jest, że nie ziewnął ani razu.

Ani razu nie ziewnął.

- Nie ziewnął - powtórzył Karl Olofsson i zapalił fajkę. - Co to jest ziewanie?

On, ten nasz więzień, nie spał. Przełykał; udawał tylko, że śpi.

Ziewać?

Czym u diabła jest ziewanie?

- Niemal nie podlegającym kontroli ruchem grupy mięśni - odrzekłem.

- Ziewa się. Ziewa się, żeby zaczerpnąć tlenu. Jest się zmęczonym, sennym. Pragnie się spać.

Karl Olofsson ssał fajkę. Stał przy buzującym ogniu, opierał się o mурowany kant okapu, podnosił na przemian to prawą, to lewą stopę, by osuszyć wilgotne skarpetki w cieple.

- Tamci nawet nie wiedzą, gdzie my jesteśmy - powiedział. - Nie mogą wiedzieć, nawet domyślić się. To było tak cholernie daleko. Z drugiej strony, my wyliczyliśmy to sobie dobrze, zrobiliśmy obejście, wykalkulowaliśmy prawidłowo, wyprzedziliśmy go, zaczailiśmy się i czekaliśmy na niego, wyliczyliśmy to prawidłowo i złapaliśmy go. No nie?

- Tak, tak, Kalle - odparłem.

Wsunąłem imbryk w żar ognia na kominku, rozcieńczywszy wpiерw fusy wodą, prawie połową czerpaka.

Mieliśmy bardzo mało kawy.

Był już późny wieczór, zaczynała się noc. Obaj byliśmy bardzo zmęczeni.

Druga noc

1

- Ten facet - powiedziałem - ten facet tam na pryczy... słuchasz mnie, Kalle? Słyszysz, co mówię?

- Zawsze się słucha - odparł.

Słuchanie należało do jego zawodu. Chodził do szkoły w Sztokholmie, niezbyt długo, ale w każdym razie przez dostatecznie długi okres. Nauczył się słuchać. To dobra rzecz nauczyć się sztuki słuchania we właściwy sposób.

- Ten gość - powiedziałem - on tylko tak wygląda, jak gdyby był jeszcze chłopcem, dzieckiem, nastolatkiem.

- Tak?

- Ale jest starszy, niż ci się wydaje.

- Tak mówisz?

- Jest starszy, niż można sądzić.

Płomień w naftowej lampie zamigotał, nie zgasł wprawdzie, ale skurczył się, tworząc półkole strzępiastych płomyczków, które dawały więcej kopcia niż światła. Wziąłem jedną z trzech świec Karla Olofssona i podałem mu ją, a on zapalił knot. Potrzymałem świecę w pozycji poziomej, by stearyna skapywała na stół; krople zlewały się z sobą w szybko bielejącą i zastygającą plamę, w którą wetknąłem dolny koniec świecy.

- Jak szybko wypala się świeca? - zapytałem. - Licząc w centymetrach na godzinę?

Potrząsnął głową albo wzruszył ramionami, albo potrząsnął głową wzruszając jednocześnie rami-onami.

- Nie wiem - powiedział.

Wstał i dmuchnął mocno nad brzegiem szkiełka lampy naftowej.

Strzępiaste, kopcące płomyczki skurczyły się jeszcze bardziej, zamigotały i zgasły. Szkiełko zda-

żyło poczerwieć od kopcia, czy też jak się tam nazywa ta sadza, która się tworzy, gdy lampa naftowa zaczyna gasnąć.

- Mam zawsze kilka kawałków świec w plecaku - powiedział Karl Olofsson. - Leżą tam stale, zimą i latem.

- Taka świeczka - odezwałem się - taka świeczka, która stoi tu na stole, białego koloru, długa na palec mniej więcej...

- Tak?

- To jest właściwie kwas - ciągnąłem. - Mieszanina dwóch kwasów, kwasu stearynowego i kwasu palmitynowego. Ponadto parafina i wosk. Nie znam się zbyt na chemii.

- Powinno się zawsze mieć paczkę świec w plecaku - wtrącił Kasi Olofsson.

- Już sam tylko knot - kontynuowałem oczyszczając knot zużytą zapałką - już samo tylko to jest kawałkiem wiedzy chemicznej. Zdaje mi się, że jest sporządzony z wełny. Wiem, że trzeba go umoczyć w związku amoniaku, żeby mógł skutecznie funkcjonować jako knot.

U nas w domu zwykle laliśmy świece na Boże Narodzenie - kiedy byłem dzieckiem. W ten sposób święta robiły się dłuższe.

Karl Olofsson siedział pochylony do przodu. Jego łokcie spoczywały na stole, a on opierał brodę na wierzchniej stronie splecionych dłoni. Był bardzo zmęczony. Oczy miał małe, czoło gładkie, policzki obwisłe, uśmiechał się niepewnie, unosząc lekko kąciki ust.

- Tamci - powiedział - tamci wcale nie wiedzą, żeśmy go złapali. Oni nawet nie wiedzą, gdzie jesteśmy.

- Uhm.

- Do licha - zaklął.

Wydrapał fajkę i napchał ją na nowo, trochę niezgrabnie.

- Tamci - powiedział - może myślą, że on i nas zastrzelił. Nie wiedzą, gdzie jesteśmy. Liczyli się z tym, że powinniśmy byli wrócić najpóźniej dziś wczesnym rankiem.

Nie można było nic na to poradzić, jak tylko dać im myśleć to, co myśleli.

2

- Ty nic nie rozumiesz, Karlu Olofssonie - powiedziałem. - Ty nawet nie rozumiesz, że nic nie rozumiesz.

- Nie - uśmiechnął się życzliwie i położył dłoń na mojej dłoni.

- Musimy trochę pospać - rzekłem.

- Oczywiście - odparł.

- Po kolei - dodał zaraz. - Pociągniemy losy.

Wyjąłem dwie zapałki z mojego pudełeczka. Złamałem jedną z nich na dwie części. Jedna z zapałek stała się przez to dwa razy dłuższa od drugiej.

Umieściłem zapałki po obu stronach wskazującego palca mojej lewej dłoni w taki sposób, że ich główki były w pełni widoczne.

- No to ciągnij! - zwróciłem się do niego.

- Do licha - zaklął Karl Olofsson i wyciągnął krótką zapałkę.

- Znaczy się, to ja obejmuję pierwszą zmianę - stwierdził.

Wstałem, zrobiłem kilka kroków, usiadłem na drugiej dolnej pryczy.

- Powiedzmy trzy godziny - rzekł Karl Olofsson i dał mi jeden z czterech koców, które znaleźliśmy w izbie.

Naciągnąłem koc na siebie. - Jutro wyślą nowe grupy - powiedziałem. - Na poszukiwanie nas. On musi przecież wszystko tak cholernie organizować, prawda, Kalle?

Ten policjant, wierny służka króla.

3

Pamiętam, że wyciągnąłem się na łóżku, rozkosznie było leżeć, w izbie ciepło, przyjemnie było czuć na szyi szorstkość koca. Byłem syty, ponadto wypiliśmy po parę kieliszków wódki. Pamiętam, jak zasypiałem i jak w momencie usypiania przewróciłem się na prawy bok, tak że twarz zwróconą miałem w stronę izby. I pamiętam, że nagle, bez żadnego powodu, wzdrygnąłem się i całkowicie

ocknąłem. Zmęczenie tkwiło we mnie nadal, dalej było mi rozkosznie wyciągać się na posłaniu z odprężonym ciałem i czuć szorstki filc na szyi i brodzie.

Jednak zupełnie się rozbudziłem. Byłem zmęczony, ale nie mogłem zasnąć.

Pamiętam także, że długo zastanawiałem się nad moim zmęczeniem.

Mieliśmy za sobą długi i wyczerpujący dzień. Prawie nie spaliśmy poprzedniej nocy, tej nocy spędzonej na biwaku. Zrobiliśmy wiele mil w ciężkim terenie w przeddzień owej nocy w szałasie. Spaliśmy zaledwie parę godzin przed naszą długą wędrówką przez trudny teren, no i tamtej nocy i wieczora byliśmy dość pijani. A więc powinienem być czuć się śmiertelnie zmęczony. I też byłem zmęczony. Ale nie mogłem zasnąć.

Często, okresami, trudno mi spać. Zaczęło się to już w latach szkolnych, w wyższych klasach gimnazjalnych czy też w pierwszych latach liceum.

Wzorzec tego był taki sam jak obecnie: byłem zmęczony, kładłem się do łóżka, czułem, że zapadam w sen, i właśnie w ostatniej fazie usypiania wzdrygałem się, jak gdyby na odgłos strzału oddanego blisko mego ucha, a potem leżałem rozbudzony: bardzo zmęczony, ale nie senny.

Inaczej jest z moją żoną. Jest ona jak pies albo może raczej jak kot.

Potrafi w każdej chwili położyć się, zwinąć się w kłębek i spać. Nauczyła się nawet uprawiać miłość śpiąc albo przynajmniej na w pół śpiąc.

Jako że byłem rozbudzony, leżałem i przyglądałem się Karlowi Olofssonowi. Przez dłuższą chwilę siedział na skrzyni z drzewem przy kominku.

Oczyścił fajkę, wydmuchał ją do ognia, nabił i zapalił. Jego broda i policzki, a szczególnie górna warga, pokryte były ciemnym zarostem. Oparł kark o wiszącą za nim na ścianie torbę myśliwską z borsuczej skóry.

Karl Olofsson był gorliwym myśliwym, ale prawdopodobnie nie widział nigdy żywego borsuka. Przypuszczalnie nie miał pojęcia, że borsuk należy do tej samej rodziny zwierząt, co gronostaj i rosomak, że jest łasicą, tak jak kuna i norka. Borsuk żyje bardziej na południu, nie mógłby żyć i dawać sobie rady w tych północnych okolicach. Borsuk jest poza tym jedynym zwierzęciem łasicowatym, którego mięso można uważać za jadalne.

Tak, tak, wiem, że jestem besserwisserem. Dlaczego uważa się za coś negatywnego, że ktoś jest besserwisserem? Jestem pojętny, zapamiętuję, co przeczytam lub usłyszę, pamiętam to. Wbija mi się to w pamięć.

Karl Olofsson podniósł się w końcu ze swego miejsca na skrzyni z drzewem. Wystukał fajkę, dorzucił do ognia jeszcze kilka polan. Ziewnął, przeciągnął się, rozłożył ramiona i wciągnął powietrze do klatki piersiowej.

Podszedł później do stołu, usiadł znowu, wyjął oprawny w czarną okładkę notes i porobił w nim drobnym pismem staranne notatki. Ta procedura zabrała mu co najmniej pół godziny i raz po raz patrzył przy tym na zegarek.

Wiatr przybrał na sile, huczał za drewnianymi ścianami chaty, piszczał w szparach okna i w drzwiach i wciągał płomień ognia w głąb okapu. Świeca lekko migotała.

Karl Olofsson wetknął w końcu swój notatnik w czarnej oprawce do kieszeni na piersi. Ziewnął jeszcze raz. Wstał i przyglądał się naszemu śpiącemu więźniowi.

Podszedł do wiadra i wypił kilka łyków wody z czerpaka. Dotknął palcami pustej lampy, potrząsnął pustą bańką na naftę. Obmacał odzież, którą rozwiesiliśmy do suszenia. Otworzył drzwi spiżarni, przejrzał półkę po półce, a potem zamknął znowu drzwiczki. Krążył po izbie.

Za kominkiem znalazł jeszcze jedną lampę naftową, tak zwaną prymusówkę. Potrząsnął nią. Była pusta. Obejrzał pod światło bijące z ogniska; brak w niej było żarowej koszulki. Znow ziewnął i ziewnięcie to przerodziło się w serię krótkich i suchych kaszlnięć.

Na ścianie tuż na prawo od drzwi znajdowała się półka z emaliowaną miednicą, podstawką na mydło i ręcznikiem. Dotknął mydła, a potem wziął ręcznik i obejrzał go w świetle kominka. Ręcznik był dość czysty i mało używany. Położył co na półce obok miednicy.

Otworzył drzwi, rozmyślił się, zamknął drzwi. Podszedł do okna, podniósł zawieszony na nim koc, starał się wyrzucić w ciemność osłaniając oczy dłońmi.

Poruszał się powoli krocząc cicho w grubych skarpetkach, ustawicznie ziewał i od czasu do czasu kaszlał. Często spoglądał na zegarek.

Czasem chciałoby się bardzo wiedzieć, o czym inny człowiek myśli lub nad czym się zastanawia. Można go naturalnie o to zapytać.

Może odpowie. Ale i tak nie będzie się wiedziało, o czym myśli czy nad czym się zastanawia. Wie się tylko, co odpowiedział.

Karl Olofsson podszedł w końcu do złapanego młodzika. Ten leżał w dalszym ciągu na wznak, a lewe ramię, z lekko ugiętą dłońią i zgiętymi palcami, zwiślało mu nadal za pryczę. Koc zsunął się z niego do pasa. Karl Olofsson podciągnął go. Młodzik odwrócił się do ściany. Karl Olofsson podniósł luźno zwisające ramię, włożył je pod koc, otulił leżącego, jak matka otula śpiące dziecko.

Młodzik spał naprawdę, nie było żadnej wątpliwości, że rzeczywiście śpi.

Wyprostował nogi, a ponieważ był wyrośnięty ponad przeciętność, stopy jego dotykały moich stóp.

- Zimno mi - odezwałem się.

- Nie śpisz? - zapytał Karl Olofsson.

- Otul go, otul - powiedziałem. - Byłoby przykro, gdyby marzył.

4

- Spróbuj zasnąć - rzekł.

Była to znakomita rada.

- Spij już - namawiał.

- A ten młodzik, którego złapaliśmy, jak z nim jest? Śpi? Czy tylko udaje? Przetyka?

- Śpi - odparł Karl Olofsson. - Śpi na dobre.

- To świetnie.

- Spróbuj się chociaż odprężyć - mówił Karl Olofsson. - Już samo leżenie jest odpoczynkiem, nawet jeśli się nie śpi.

- Ten tam - powiedziałem - może sobie leżeć i spać.

- Właściwie to dziwne - rzekł Karl Olofsson - że on śpi tak spokojnie jak dziecko.

- Nie, to wcale nie jest dziwne. On się tylko boi.

Karl Olofsson spojrzał na mnie pytająco. Należał do tych, którzy nie podnoszą brwi ze zdziwienia, tylko je marszczą.

- Wielu ludzi ogarnia senność, gdy się boją. Wiem o tym - ciągnąłem. - Sam to przeżywałem. Raz, dawno już temu, jeszcze wtedy chodziłem do szkoły, byłem zamieszany w głupią historię. Moi towarzysze, a było ich dwóch, zostali złapani przez policję; aresztowani, jak to się wówczas nazywało.

Obecnie nie mówi się już chyba aresztować tylko przytrzymać? Dowiedziałem się o tym akurat, kiedy siadaliśmy do obiadu u nas w domu. Diabelnie się wystraszyłem. Nie mogłem nic przełknąć, kęsy rosły mi w ustach. Wiedziałem, że rano przyjdą po mnie także. Siedziałem w swoim pokoju i myśli tłukły mi się po głowie. Mamusia zapytała, czy nie jestem chory. Ale ja się tylko bałem.

Sądziłem, że przez całą noc będę leżeć bezsenne i wpatrywać się w sufit.

Wcale tak nie było. Wprost przeciwnie. Senność ogarnęła mnie wcześniej niż zwykle. Położyłem się do łóżka. Różne myśli tłukły mi się nadal po głowie, ale zasnąłem niemal natychmiast i spałem dobrze przez całą noc.

- No i co, wzięli cię z łóżka?

- Nie, to były bardzo oględne gliny. Czekali na mnie przed bramą, gdy wychodziłem do szkoły.

- Coście takiego narozrabiali?

- E tam, bagatelka - odparłem. - Byłem tak wystraszony, że szybko zasnąłem. Ucieczka w sen, jak by to może określił wnikliwy psycholog. Jednym z pierwszych pytań, jakie mi zadali, gdy zaczęło się przesłuchanie, było, jak się nazywam, kiedy się urodziłem i gdzie.

- Nie przytrzymuje się za bagatelki - rzekł Karl Olofsson.

- Takis ciekawy?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

5

Musiałem się na kilka minut zdrzemnąć, gdyż nagle Karl Olofsson stał pochylony nade mną.

- Spałeś? - zapytał niezręcznie.

- Niemal - odparłem.

- Moja kolej - podsunął mi przed oczy zegarek, jak gdybym podejrzewał, że próbuje mnie oszukać.

Miałem ciężką głowę i zdrętwiałe nogi. Poczulem się trochę lepiej, przeszedłszy się kilka razy po ciasnej izbie i zapaliwszy fajkę.

Karl Olofsson wyjął pistolet z tylnej kieszeni i wetknął go pod poduszkę, położył się na moim miejscu i owinął się kocem.

- Tamci nawet nie wiedzą, gdzie jesteśmy - powiedział.

Mówił to już poprzednio ze dwadzieścia razy.

- A co z Marie - odrzekłem - ona chyba też nie wie, gdzie jesteś. Pęta się po domu, po kuchni i gryzie paznokcie z niecierpliwości, jak sądzisz?

- Uprzedziłem ją, że może nie będzie nas przez parę dni - odparł. - Poza tym jest już przyzwyczajona do wszystkiego.

Odpowiedź jego była kwaśna, niemal nieprzyjazna. Położył fajkę i portfel na ławie. Rzucił mi przeciągłe spojrzenie i odwrócił się do ściany.

Karl Olofsson nie powiedział nic o mojej żonie, nie zapytał o nią. Często to, czego się nie mówi, jest bardziej pełne treści, niż to, co się powiedziało.

Dołożyłem kilka polan do ognia i pogrzebałem w żarze żelaznym drążkiem.

Byłem bardzo zmęczony. Nasze gumowe buty wciąż jeszcze były wilgotne w dotyku, postawiłem je bliżej kominka.

Półki w szafce zapelnione były talerzami, kubkami, szklankami, sztucami, patelniami, garnkami i tak dalej. Na najniższej półce leżał pokaźny zapas soli, w woreczkach i w kartonach, jak to bywa we wszystkich odległych chatach rybackich, gdzie zawłoką to nazbyt optymistyczni wędkarze. W jednym rogu stał karton pełen próżnych butelek. Ci goście ze spółek mają kosztowne nawyki, jeśli chodzi o picie. Nad torbą myśliwską z borsuczej skóry wisiała wydra, rybacka deska staroświeckiego typu. Na parapecie okna leżał pożółkły egzemplarz „Gazety Finansowej”, pół numeru „Przemysłu” i „Nowa Norrlandia” z 28 sierpnia.

Nagle uświadomiłem sobie, że chodzę po izbie cicho, tak jak poprzednio Karl Olofsson: oglądając, wyjmując rzeczy, badając. Usiadłem przy stole.

Pierwsza ze świec już się kończyła. Spojrzałem na zegarek, ale nie mogłem wyliczyć, przez ile godzin płonęła. Wziąłem dłuższy z dwóch pozostałych kawałków świecy, przez chwilę potrzymałem dolny jego koniec w płomieniu dogasającej świecy, a potem wcisnąłem go mocno i umocowałem w rozlanej na stole stearynie.

Alkohol może czasem mieć efekt odurzający, czasem pobudzający.

Nalałem sobie do szklanki trochę wódki, niedużo, jakieś cztery, pięć centylitrów.

Na oknie leżał także rocznik „Szwedzkiego Związku Turystycznego” z 1962 roku, otoczony dziesiątkami zdechłych much. Poświęcony Upplandii. Zacząłem go przeglądać: nie było tam żadnych, zazwyczaj obowiązkowych, bzdur o norrlandzkiej głuszy, pustynności, odległościach, surowości kraju i o szczęśliwych ludziach, którym dane jest mieszkać pod zorzą polarną i zimnymi gwiazdami. Rocznik zaczynał się zajmującym całą stronę portretem Daga Hammarskjolda z owej jesieni, nim jego samolot spadł w gorących pustyniach koło Ndola.

Czy Związek Turystyczny nie powinien używać pisowni Uplandia, przez jedno „p”?

Z książki wysunęła się i spadła mi na kolana karteczka. Była tam notatka ołówkiem: Uwaga. Joś 15 - 17 marca. Tekst nie miał dla mnie żadnego znaczenia, ale widocznie był ważny dla kogoś innego. Uśmiechnąłem się sam do siebie, moja refleksja była naiwna i ponadto sentymentalna. Byłem bardzo zmęczony.

- Spisz, Kalle? - zapytałem. - Oddychasz spokojnie i rytmicznie jak człowiek śpiący. Zakopałeś się pod kocem i nie mogę zobaczyć, czy przełykasz, czy nie przełykasz.

Postawiłem naturalnie pytanie cichym głosem, niemal szeptem. Nic nie odpowiedział.

Nasz więzień leżał z twarzą zwróconą w stronę izby. Spał naprawdę, co do tego nie było wątpliwości. Podciągnął kolana tak wysoko, że sterczały poza brzeg pryczy. Dłonie miał złożone i wciśnięte między kolana. Wdychał powietrze przez nos, wolno i głęboko. Gdy robił wydech, powietrze przechodziło częściowo przez usta, wargi rozchylały się lekko i wydawały w pełni dostłyszalny gwizdzący dźwięk. Można śmiać się z człowieka, który chrapie, albo irytować się z powodu tego, że czyjeś głośnie chrapanie zakłóca człowiekowi sen. Śpiący, który wydaje ciche pogwizdywania, nie wzbudza ani śmiechu, ani irytacji. Jest zabawny. Uniosłem koc. Podciągnął kolana wyżej i za-

cisnął jeszcze mocniej nogi wokół złożonych dłoni. Spał głęboko.

Nie wiedziałem o nim zbyt dużo. Strzelał do dwóch niedzielnych wędkarzy, robotników, i zabił jednego z nich. Uciekł z tego miejsca i w dwa dni potem zabił z pistoletu maszynowego dwóch ze ścigających go, a ponadto wpakował parę kul w brzuch trzeciemu. Nikt nie wiedział, kim jest. Nikt nie wiedział, dlaczego strzelał. Ścigało go całe pospolite ruszenie ludzi, a pościg utrudniały grube, niskie chmury i zadymki śnieżne. To myśmy go złapali. Karl Olofsson i ja. Teraz leżał tu, spał spokojnie i oddychał ustami, wydając śmieszne pogwizdywania.

6

Usiadłem na skrzyni z drzewem przy kominku.

Kiedy jestem bardzo zmęczony, trudno mi zsynchronizować oczy, prościej mówiąc widzę podwójnie. Muszę zamykać jedno oko, żeby uzyskać wyraźny obraz.

Prawdopodobnie zdrzemnąłem się.

Nagle młodzik, nasz więzień, stanął na podłodze obok swojej pryczy.

Obmacał badawczo zranioną nogę i zrobił kilka próbnych kroków.

Jeszcze raz obmacał oburącz uszkodzoną nogę. Znowu się wyprostował.

Był wysoki, z pewnością o pół głowy wyższy niż ja, i miał szerokie, mocne barki, mimo chudości.

Po kilku sekundach wahania zrobił trzy lub cztery krótkie kroki w prawo, ma prawo z jego punktu widzenia. Oparł się o górną pryczę i pochylił się nad śpiącym Karlem Olofssonem.

Wyciągnął ramię, lewe, jak gdyby po to, by ściągnąć w dół lub przynajmniej unieść koc Karla Olofssona, ale powstrzymał się, zanim w pełni wykonał swój ruch.

- Kładź się - powiedziałem. - Idź połóż się!

Było mi trochę trudno mówić. Zaszło mi w ustach. Język miałem szorstki, lepił mi się do podniebienia i gruczołów ślinowych.

Młodzik odwrócił się ku mnie, wyprostował się. Zrobił jeszcze kilka krótkich kulejących kroków.

- Moje buty - odezwał się - gdzie są moje buty?

- Połóż się! - powtórzyłem.

- Moje buty - zapytał przesuwając wzrokiem po podłodze.

Zatrzymał się o metr, może dwa metry przede mną.

Twarz miał bladą i chudą, z wyraźnie zaznaczonym ciemnym zarostem.

Duży, wydatny nos. Czoło nie było dziecinnie gładkie, raczej poorane zmarszczkami. Od skrzydełek nosa biegły dwie wyraźnie zarysowane łukowate linie w kierunku dolnej szczęki i brody, po obu stronach ust. Przed i poniżej kości jarzmowych - czy one nazywają się jarzmowe? - znajdowały się dwa równe, wyraźnie zaznaczone zagłębienia.

- Buty - powtórzył - gdzie są moje buty? Mówił cicho, niemal szeptem.

Głos miał zadziwiająco dźwięczny. Pamiętam, że zwróciłem uwagę, iż jego włosy nie robiły już wrażenia skudlonych. Leżały gładko przylepione do czaszki.

Wyglądało, jak gdyby świeżo przyczesał je z wielką starannością.

- Moje buty - powtórzył. Możliwe, że równocześnie uśmiechnął się lekkim, szybko gasnącym uśmiechem.

Wskazałem na podłogę za nim.

Był przynajmniej o pół głowy wyższy ode mnie i miał barki mocniejsze niż Karl Olofsson.

Usiadł na stołku i wciągnął buty na nogi.

Podczas tego patrzył na mnie nie odwracając twarzy. Oczy jego były skierowane na mnie. Były może małe i czujne. Ale równie dobrze można by je opisać jako rozwarte, duże i czujne.

- Jak się nazywasz? - zapytałem.

Wciąż jeszcze usta miałem wysuszone i spieczone.

- Muszę wyjść na dwór - powiedział.

- Idź więc, do cholery - odrzekłem. - Do cholery!

Podniósł się i lekko kulejąc poszedł do drzwi.

Wstałem równocześnie z nim i sięgnąłem po pogrzebacz, ów niemal dwukilowy drażek zbrojenio-owego żelaza, co najmniej calówki.

Zatrzymał się pod listwą, która biegła od jednej ściany szczytowej chaty do drugiej, listwą na której powiesiliśmy odzież do suszenia i na której Karl Olofsson zawiesił swój pas, służbowy pas z węższym paskiem na ramię.

Kabura pistoletu wisiała na pasie. Była pusta. Złapany, nasz więzień obejrzał się szybko przez ramię. - No i co - rzekłem. Trzepnął kaburą jak batem, aż zakołysała się tam i z powrotem, jak kołyszą się lekkie przedmioty.

Otworzył drzwi wewnętrzne i wyszedł do przysionka, a ja za nim.

Zamknąłem za sobą drzwi. Otworzył zewnętrzne drzwi chaty. Porwał je od razu wiatr. Tuman drobnoziarnistego śniegu oblepił mi dłonie, przedramiona, twarz, szyję.

Była noc, czarna jak węgiel noc zimowa.

Trzy kroki za zewnętrznymi drzwiami chaty stała brzoza, dosyć duża i stara, o dość grubym pniu. Oparł się o pień brzozy podniósłszy prawe ramię.

Mogłem go dostrzec, gdy oczy moje przyzwyczyły się do ciemności.

- No i co? - powiedziałem.

Zmienił nieco pozycję, starając się uniknąć tego, by wiatr znosił strumień moczu na jego nogawki. Wirujący drobnoziarnisty śnieg lepiał mi się do dłoni i ramion, wciskał przez rozchyloną na szyi koszulę.

Brzoza stała tak blisko drzwi chaty, że mogłem szturchnąć naszego więźnia żelaznym drażkiem, naturalnie całkiem lekko tylko.

- Jeszcze się nie załatwił? - zapytałem. Pochylił się do przodu. - No i jak?

Nie odpowiedział. Możliwe, że wykrztusił jakąś odpowiedź. Jeśli tak, zagubiła się w wichurze.

Jeszcze raz dotknąłem jego barków i karku tym żelaznym drażkiem.

Prawdopodobnie na dworze nie było zbyt zimno, ale kontrast między wichrem i śnieżną zadymką a ciepłem małej rybackiej chaty był, łagodnie mówiąc, uderzający.

Przytrzymałem zewnętrzne drzwi chaty, a on precyzyjnie przesunął się obok mnie do przysionka.

Był o pół głowy wyższy ode mnie.

Otworzył drzwi wewnętrzne, nim zdążyłem zamknąć zewnętrzne. Ogień na kominku rozplamił się i gruby kłęb dymu buchnął na izbę. Przyciągnąłem wewnętrzne drzwi zbyt gwałtownie, stara wydra rybacka spadła z gwoźdźca na ścianie, upadła najpierw na skrzynię z drzewem, a potem odbiła się daleko na środek podłogi. Deska była stara, sucha i elastyczna. Odbiła się, jakby była sporządzona z cienkiej, sprężystej stali.

Karl Olofsson poderwał się na pryczy, lekko kaszłąc od dymu.

- Co się stało? - zapytał.

- Spij, chłopcze, śpij, do licha!

Nasz więzień zatrzymał się koło drzwi. Stałem tuż obok niego, zamknąwszy za sobą wewnętrzne drzwi chaty.

- Idź i połóż się! - powiedziałem.

Karl Olofsson i ja byliśmy jednakowego wzrostu, tak więc tamten, nasz więzień, był o pół głowy wyższy i od niego.

- Połóż się! - powiedział Karl Olofsson wsuwając się między nas. Tracił go lewym barkiem i lewym łokciem. - Idź i połóż się, do diabła - powtórzył.

Szturchnął go lewym łokciem w klatkę piersiową, poniżej miejsca, gdzie stykają się najniższe żebra.

Złapany młodzik cofnął się o krok.

- Nie rusz mnie - warknął. Oczy i nozdrza rozszerzyły mu się. - Nie rusz mnie - powtórzył.

- Połóż się! - Karl Olofsson nacisnął go łokciem.

- Nie rusz mnie - powtórzył jeszcze raz nasz więzień. Jego głos był i dźwięczny, i zachrypnięty, ale bardziej dźwięczny niż zachrypnięty: - Nie rusz mnie!

Karl Olofsson wyrwał mi z ręki żelazny drażek i rzucił na podłogę. Drażek zadźwięczał, potoczył się po deskach, zatrzymał się, ucichł.

Nasz więzień cofnął się tyłem do swojej pryczy. - Nie rusz mnie - powiedział. Usiadł na posłaniu, oparł się o ścianę i podciągnął koc do pasa.

8

- Zasnąłeś, Kalle? - zapytałem. - Zbudziłem cię? Nie miałem zamiaru.

Jesteś przecież zmęczony. I zasłużyłeś sobie na parę godzin odpoczynku.

Karl Olofsson przysunął imbryk z kawą do ognia” nalał pół czerpaka wody i wsypał dużo mniej niż pół garści kawy.

- Po co ci był potrzebny ten żelazny drążek? - zapytał.

- Leżał tak dobrze w dłoni - odparłem - okrągły” ciężki i długi w sam raz.

- Czemu nie możesz podchodzić do tego trochę spokojniej?

- Spokojniej? Któż jest bardziej spokojny niż ja?

- No już dobrze, dobrze - powiedział.

- Spójrz na niego - rzekłem - na naszego więźnia, na naszego gościa na pryczy! Uśmiecha się, widzisz, on się naprawdę uśmiecha.

Młodziak na wpół leżał na pryczy, opierając się barkami i karkiem o ścianę.

Patrzył na nas czujnymi, badawczymi oczyma. Miał duży, wydatny nos, dwie silnie zaznaczone łukowate krechy, które zaczynały się tuż nad skrzydełkami nozdrzy, dotykały kącików ust i znikwały w miejscu, gdzie skóra napinała się na kości dolnej szczęki.

- To już nie jest chłopak - powiedziałem. - On j est starszy, niż myślisz.

Zarost mu ściemniał i zgęstniał. Czoło nie było już gładkie, policzki nie były już po dziecinnemu zaokrąglone.

- Po co ci był potrzebny ten żelazny drążek? - zapytał Karl Olofsson.

- On już nie kuleje tak bardzo - odparłem. - Szybko przyszedł do siebie. - Wcale nie jesteś złą pielęgniarką, Kalle - dodałem zaraz. - Może nawet czasem jesteś lepszą pielęgniarką niż policjantem.

9

Siedziałem na ławce przy ścianie z oknem, miałem przed sobą stół i całą izbę.

Karl Olofsson przyniósł imbryk z ognia i nalał kawy. Poruszał się cicho w wełnianych skarpetkach, zostawiając na podłodze niewyraźne ciemne ślady stóp.

- Masz nogi mokre od śniegu czy też pocą ci się stopy? - zapytałem.

Udał, że nie słyszy.

Nasz więzień na wpół leżał na pryczy i patrzył na nas ruchliwymi, czujnymi oczyma.

- Jak się nazywasz? - zapytałem. Nie odpowiedział.

- Może się napijesz z nami kawy - rzekłem. - Nie jest to szczególnie dobra kawa, ale w każdym razie kawa.

Teraz odpowiedział:

- Nigdy nie piję kawy.

- Słuchaj - zwróciłem się do Karla Olofssona - on odpowiada, można niemal konwersację z nim prowadzić.

- No, to może papierosa? - dorzuciłem podsuwając chłopakowi zmiętą paczkę.

- Nie palę - odparł młodzik.

- W takim razie jednego na spanie - dorzuciłem podnosząc butelkę wódki Karla Olofssona.

Złapany młodzik uśmiechnął się szerzej. Milczał, nie potrzebował odpowiadać.

- Do diabła - rzucił Karl Olofsson, by przerwać rozmowę.

Nalałem łyczek z flaszki do mego kubka z kawą i taki sam łyczek do kubka Karla Olofssona.

- Dlaczego zawsze musisz za dużo gadać - powiedział.

- Za dużo?

- Tak.

- Jesteś tego pewny?

- Hm, nie wiadomo. A zresztą. Nie powinno się gadać więcej, niż to jest absolutnie konieczne.

- Która godzina? - zapytałem. - Czy to już po północy? Czy już niedługo będzie ranek?

Miałem naturalnie własny zegarek, ale bawiło mnie, gdy Widziałem, jak wykręca ramię z zegarkiem w stronę chybottliwego płomyka świecy.

- Posłuchaj! - powiedziałem:

Na północy wiatr odpoczywa koło łysych gór, na południu kołysze się boja na długiej fali przyboju.

Równiny zachodu pozdrawiają łąki wschodu, a godzina godzinie szepce swoje hasło.

Karl Olofsson popatrzył na mnie spomiędzy poziomo napiętych brwi.

Pomiędzy nimi widać było kilka głębokich, ciemnych i wyraźnie pionowych zmarszczek.

- Co to takiego?

- To znowu fiński poeta, jeden z tych, których mową ojczystą jest język szwedzki. Która godzina?

Uśmiechnął się niepewnie, wsunął dłoń przez zapięcie szarego kombinezonu i drapał się w klatkę piersiową, obojczyki i pod pachami.

Ani kawy. Ani papierosa. Ani wódki.

- Nasz przyjaciel zdaje się należy do typów ascetycznych - powiedziałem.

Karl Olofsson opróżnił swój kubek. Prawdopodobnie nie wiedział zbyt dużo o ascytyzmie.

10

Nasz więzień zamknął oczy. Wsunął się głębiej pod koc i podciągnął go pod szyję błędzącymi i niepewnymi ruchami człowieka zasypiającego.

- Połóż się - zwróciłem się do Karla Olofssona. - Teraz moja kolejka.

Staraj się trochę zasnąć. Już wnet się rozwidni. Mamy przed sobą długi dzień.

- Są ludzie jak psy - rzekł.

- Jak psy?

- Tak, właśnie jak psy. - Dorosły mężczyzna - dorzucił zaraz - każdy dorosły mężczyzna da sobie radę z psem, z jakimkolwiek psem.

Jasna rzecz. Człowiek waży z reguły co najmniej dwa razy tyle co pies.

- Raz - mówił Karl Olofsson - wiele lat temu był u nas, z Jämtlandii, taki duży pies na łośie, wielki jak owczarek albo jeszcze większy.

- Uhm? Ale czy nie powinieneś się położyć?

Karl Olofsson podniósł kubek, kiwnął mi głową. Powieki miał na wpół zamknięte, ciężkie. Spróbował zapalić fajkę. Nie udawało mu się. Być może w główce fajki był już tylko popiół.

- Ten cholerny pies gryzł ludzi - ciągnął. - Rzucił się na mnie. - Podwinął rękaw koszuli na lewym ramieniu. - Sam zobacz - powiedział.

Lewe przedramię było poszarpane i poznaczone głębokimi ukąszeniami i ciemnymi bliznami.

- No i coś zrobił? - zapytałem.

- Już dobrze nie pamiętam - odparł. - Wczepił mi się w ramię, gryzł i szarpał. Bolało bardzo, krwawiło.

- Ale coś ty zrobił?

Karl Olofsson wychylił kubek do dna.

- Każdy, a w każdym razie dorosły mężczyzna potrafi rozprawić się z psem - powiedział.

- Coś zrobił?

- Uderzyłem go wolną ręką w kark, tuż nad łopatkami. Z całej siły.

- Zabiłeś go?

- Nie.

- Uderzyłeś za słabo?

- Do licha - zaklął - przecież to był świetny pies na łośie.

- Powinieneś być uderzyć mocniej!

- Uderzyłem dostatecznie mocno - stwierdził.

Przesunąłem wskazującym palcem po bliznach na jego przedramieniu.

Lekarz powiatowy nie wywiązał się dobrze ze swego zadania, miały linię szarpaną.

- Dostatecznie mocno?

- Są ludzie, którzy potrafią być jak psy.

- Tak, tak - przyznał.

Usiadłem na skrzyni z drzewem koło kominka. Karl Olofsson wlaź na posłanie, ale nie wyciągnął się porządnie, skulił się z podciągniętymi nogami, opierając się plecami o ścianę chaty.

Zapaliłem fajkę. Także i jemu udało się zapalić swoją. Długo siedzieliśmy w milczeniu. Wiatr osłabł. Ogień na kominku płonął spokojnie. Płomień świecy już nie chybotał. W końcu wskazując głową w stronę naszego więźnia powiedziałem: - Ten potrafi spać, ile tylko zechce. - Karl Olofsson spojrział w jego stronę, ale nic nie odpowiedział. - Nie przetyka - dorzuciłem. - Śpi. - Karl Olofsson milczał.

Nie lubię niepotrzebnego milczenia. Milczeć, gdy się według wszelkiej logiki powinno mówić, jest raczej wyrazem aktywności, a czasem nawet wyrazem agresywnej aktywności. Wskazywałem już, że to, co nie wypowiedziane, może być bogatsze w treść niż to, co zostało powiedziane.

Postanowiłem, że będę milczał tak długo, aż Karl Olofsson będzie w końcu zmuszony się odezwać.

Długo milczeliśmy, zwrócenie twarzami ku sobie. Byłem bardzo zmęczony.

Musiałem przyrymkać jedno oko, żeby móc uzyskać wyraźny obraz wnętrza chaty.

Wstałem i przyciągnąłem sobie stółek, by oprzeć na nim stopy. Wstałem jeszcze raz, żeby dołożyć kilka polan do ognia. Fajka zgasła. Zapaliłem ją na nowo.

Karl Olofsson siedział zwrócony ku mnie i patrzył niemal nie spuszczać ze mnie swych małych oczu pod zmarszczonymi brwiami.

Odczuwałem zmęczenie częściowo jako odrętwienie, częściowo zaś jako słabe, niemal przyjemne rwanie przede wszystkim w mięśniach nóg i ramion.

Raz leżałem w szpitalu, cierpiąc na powtarzające się gwałtowne ataki żółciowe. Bóle były niemal nie do wytrzymania - gdy piszę nie do wytrzymania, to znaczy też u mnie nie do wytrzymania. Ataki trwały ponad tydzień. Lekarz powiatowy skąpił zastrzyków uśmierzających bóle w ogóle, a zwłaszcza gdy chodziło o moją osobę. Nie byliśmy nigdy w zbyt dobrej komitywie.

Wkrótce po zaaplikowaniu zastrzyków bóle zelżały, a potem zanikły.

Pamiętam bardzo dobrze przebieg choroby. Już sam widok pielęgniarki zawsze mile uśmiechniętej, ze strzykawką w dłoni, sprawiał mi ulgę. Odchyłała koc i prześcieradło, śmieszna szpitalna koszula była mokra od potu i odczuwałem przyjemny chłód. Jeszcze gdy igła tkwiła w udzie, czułem, że bóle zaczynają ustępować. W przeciągu paru minut znikwały całkowicie.

Szczęście to słowo o wątpliwej treści. Śmiem jednak (twierdzić, że te szybkie wyzwolenia z nieznośnych bólów stanowią kilka z wielkich szczęśliwych przeżyć mego życia.

Zastrzyki nie tylko koły ból, działały też uspokajająco. Niepokój, lęk, dławiące uczucie nudności ustępowały. Nie musiałem już tarzać się z bólu na łóżku, mogłem położyć się na boku albo wyciągnąć się, odprężyć.

Zastrzyki nie tylko uśmierzały ból i uspokajały, były także usypiające.

Czułem się straszliwie zmęczony i stopniowo drętwiałem, odrętwienie to zaczynało się słabym rwaniem w stopach, a potem z wolna posuwało się w górę ciała - wiedziałem, że niebawem zasnę.

Próbowałem bronić się przed zaśnięciem. Chciałem leżeć w półodrętwieniu i rozkoszować się szczęściem, że nie czuję już nieznośnych bólów. Siadałem na łóżku, usiłowałem czytać, chodziłem po pokoju, paliłem pa pierosy - nasz szpitalik jest mały i leżałem samotnie w pokoju. Ale nogi robiły mi się coraz cięższe, mięśnie coraz bardziej odrętwiały. Pokój, podłoga, ściany, sufit poruszały się miękkimi, łagodnymi falami. Musiałem zamykać jedno oko, żeby móc widzieć wyraźnie. Także ramiona stawały się ociążałe i dziwnie nieruchawe, jak gdyby napełnione ołowiem. Nie mogłem myśleć, w końcu nie mogłem już nawet rozkoszować się uwolnieniem od mąk. Nawet głowa wydawała się pełna ołowiu. Właziłem do łóżka i usypiałem.

Napisałem przed chwilą, że chciałem leżeć bezsennie i rozkoszować się tym, że nie czuję już bólu.

Gdy jednak nogi, ramiona i głowa zrobiły się ołowiano odrętwiały, wola moja zmieniała się. Nie chciałem dłużej leżeć bezsennie. Wola, by leżeć bezsennie, ustawała w pięć czy dziesięć minut po zastrzyku. Chciałem spać, gdy wsuwałem się do łóżka i pozwalałem sobie zasnąć. To dziwne.

Nasz lekarz powiatowy był zasadniczo powściągliwy, gdy chodziło o użycie preparatów i zastrzyków uśmierzających bóle. Nie mogę uwolnić się od wrażenia, że był szczególnie powściągliwy, gdy chodziło o moją osobę. Nie lubi mnie. Nie wiem dlaczego. Jest lekarzem, ja jestem tylko zwykłym nauczycielem ludowym.

Najgwałtowniejsze ataki bólu występowały, jeśli dobrze pamiętam, wieczorem albo w nocy, to

znaczy w tej porze doby, gdy nasz lekarz nie pozwalał sobie zakłócać spokoju, chyba tylko w ciężkich wypadkach i dramatycznie ostrych stanach chorobowych.

Zupełnie prawdopodobne, że dyżurna pielęgniarka często dawała mi upragnione zastrzyki, nie konsultując się wprawdzie z lekarzem. To tylko mój domysł: nie znam się zbyt na trybie pracy i stosunkach w odległej małej norrlandzkiej izbie chorych.

Marie, żona Karla Olofssona, była pielęgniarką. Nie pracowała stale w izbie chorych, ale często miewała zastępstwa, zwłaszcza w nocnej porze. To właśnie w czasie mojej choroby żółciowej poznaliśmy się.

Jej włosy są długie i ciemnoblonde, jej oczy mają kształt migdałów i są trochę po mongolsku skośne, umie uśmiechać się miękko i dłonie jej są chłodne tak, jak powinny być chłodne dłonie wszystkich pielęgniarek.

12

Siedzieliśmy tam, zwróceni ku sobie, Karl Olofsson i ja. On na pryczy, ja na skrzyni z drzewem. Postanowiłem, że będę milczeć, dopóki on nie poczuje się zmuszony do mówienia.

Nie lubię niepotrzebnego milczenia.

Patrzył na mnie niemal nie odwracając oczu, jeśli pominąć krótkie chwile, gdy wyskrobywał fajkę, nabijał ją i ponownie zapalał. Minęła godzina. Nie lubię niepotrzebnego milczenia. Nie jestem ani uparty, ani dogmatyczny.

- Byłeś kiedyś chory? - zapytałem.

Zdumiała mnie ochrypłość mego głosu. Musiałem parę razy odchrząknąć, mimo że moje pytanie, trochę naiwne pytanie, składało się zaledwie z trzech słów.

- Nie - odparł z ociąganiem i namysłem. - Nigdy nie byłem tak naprawdę chory. Katar, naturalnie, kaszel, przeziębienie i tak dalej. Ale nigdy prawdziwa choroba.

- Nigdy?

- Hm.

- Nigdy? Nigdy nie byłeś poważnie chory?

- Na odrę, ma się rozumieć, w dzieciństwie. I na świnkę, i na ospę wietrzną. Ale to nie była prawdziwa choroba. Trwała najwyżej dwa tygodnie i nie powodowała żadnych następstw.

- Inna sprawa z czarną ospą - wtrąciłem. - Marynarze ze statków Kolumba przywlekli z sobą syfilis z Ameryki do Europy. Poprzednio już zawlekli z sobą ospę z Europy na kontynent amerykański. Taka chrześcijańska wymiana.

- Hm! - bąknął Karl Olofsson.

Oparty o ścianę chaty ssał fajkę i patrzył na mnie zmrużonymi badawczo oczyma, syfilis i ospa wcale go nie interesowały.

- Zupełnie cię to nie interesuje? - zapytałem.

- Niezupełnie - odpowiedział i ziewnął szeroko. - Te historie z syfilisem i rzeżączką to sprawy, jakie kilka razy, kilka razy tylko, musiałem załatwiać.

Jako policjant. Rozumiesz?

Ależ tak. Zdawało mi się, że zrozumiałem. Jako policjant.

- Ten gość - rzekłem - może spać, ile zechce, spać i czuć się pewnie i bezpiecznie. My czuwamy nad nim.

Karl Olofsson wyjął fajkę z ust i spojrzał na śpiącego więźnia.

- Nie wiemy nawet, jak się nazywa - powiedział. - Żadna sztuka skłonić go do mówienia - odrzekłem. - Trzeba tylko chcieć.

- Zmęczonyś? - zapytał Karl Olofsson.

- Jak możesz myśleć, że jestem zmęczony - odparłem.

Potem nastąpiła jeszcze jedna długa chwila milczenia, dziesięć albo piętnaście minut, a może nawet pół godziny. Karl Olofsson zapalił trzecią świecę i wcisnął ją w resztki dwóch poprzednich.

- Duch uciśnienia siedział na moim ramieniu - rzekłem - na wpół karzeł, na wpół kret. Był sparaliżowany i paraliżujący, lał mi ołów do ucha, ołowiane krople myśli do mózgu.

- Do diabła - zaklął Karl Olofsson cichym i przyjaznym głosem.

- Można rzucić kamień w górę - ciągnąłem - ale choćby nie wiadomo jak wysoko go rzucić, kamień musi w końcu spaść na dół.

- Czy to znowu jakiś fiński poeta? - zapytał. - A może tylko jesteś na bańce?

- Nie. To Niemiec. I to jest sposób opowiadania o zmęczeniu, choć ty tego nie rozumiesz, Kalle.

Jego fajka zgasła. Potrzymał wypaloną zapalkę nad płomieniem świecy, dopóki nie zajęła się ogniem na nowo.

- Kicham na wszystkich poetów - powiedział. - Na wszystkich, na Szwedów, Finów, Niemców, Chińczyków i Jankesów.

Udało mu się zapalić fajkę prawie wypaloną zapalką. Dym leciał mu w twarz, mimo że potrząsał głową. Uśmiechał się mrugając oczyma.

- To był nie tylko niemiecki poeta - rzekłem - ale także niemiecki filozof.

Nikt nie może wymagać, by stale uśmiechający się czy też śmiejący się policjant wiedział coś o filozofach i filozofii.

- Powinieneś starać się zasnąć, Kalle - powiedziałem.

Obaj byliśmy bardzo zmęczeni.

Dobiegała do kresu druga noc - albo trzecia, jeśli liczyć także tę wspólną noc przed pierwszą nocą.

- Odpreż się przynajmniej - zachęcałem. - Nawet jeśli się nie śpi, już to samo, że się leży, odpreża, daje odpoczynek. No nie? On śpi - dodałem. - Nie przetyka, oddycha z otwartymi ustami, więc śpi. I to już ani chłopak, ani młodzik, lecz niemal dorosły mężczyzna. Jest starszy, niż przypuszczasz.

Karl Olofsson wyprostował się i przyjrzał się badawczo śpiącemu więźniowi.

Starszemu, niż zrazu można było przypuszczać.

- Kicham na to, ile on ma lat - rzekł. Schwytyany mężczyzna leżał nadal na lewym boku.

Trzymał dłonie złożone między podciągniętymi kolanami. Jego wdechy były powolne, niemal przeciągnięte. Wydechy były krótkie, niemal urywane.

- On śpi - rzekł Karl Olofsson. - Może spać, ile zechce. Kicham na to, ile on śpi, i kicham na to, jak on się nazywa.

Wkrótce potem zaśmiał się cicho.

- Złapaliśmy go w każdym razie - rzekł. - Wyliczyliśmy to sobie dobrze, ty i ja.

- To tyś wyliczył - odparłem - a nie my obaj.

- Chętnie dzielę się z tobą - powiedział.

13

Spojrzałem na zegarek: - Mieliśmy czuwać po trzy godziny. Wciąż jeszcze jest moja kolejka.

Milczał.

- Dlaczego się nie kładziesz?

Mruknął coś niezrozumiale.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - powiedziałem.

Spojrzał na mnie.

- Złapaliśmy go, tego tam - ciągnąłem. - Mamy go tu na tej pryczy przez cały wieczór i niebawem przez całą noc. Ile ludzi brało udział w pościgu za nim? Trzystu? Jeszcze więcej? Samolot. My mamy go tutaj. I prawie nie rozmawialiśmy z nim. Jedliśmy i piliśmy. I prawie nie mówiliśmy o nim.

Karl Olofsson wzruszył ramionami.

- Właściwie to bardzo dziwne - dorzuciłem. Wstałem i zrobiłem sobie kanapkę. - Może chcesz, żebym stulił pysk? - Zrobiłem jeszcze jedną kanapkę i podałem mu ją. Wziął niechętnie. - Jeszcze jednego na podkurek? - zapytałem podnosząc w górę jego butelkę z wódką.

Potrząsnął odmownie głową.

No cóż, już mi się w życiu zdarzało, że musiałem pić samotnie. Zająłem ponownie swoje miejsce na skrzyni z drzewem.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której sporo myślałem - powiedziałem.

- Tak?

- Dlaczego chciałeś, żebym to właśnie ja ci towarzyszył?

Zmarszczył czoło i rzucił mi niepewne spojrzenie. Wiedziałem, że mu się nie podobało moje pytanie.

Policzki miał ciemne od zarostu i obwisłe ze zmęczenia. Nie musiał odpowiadać.
- Nie wiesz dlaczego - rzekłem. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś.
- Ale tyś się zastanawiał - odparł w końcu.
- Całkiem po prostu bałeś się - powiedziałem. - Dlatego chciałeś, żebym to właśnie ja ci towarzyszył.

Przełamał swoją kanapkę na dwa kawałki, złożył je z sobą i ugryzł duży kęs.
- Bałeś się tego wariata - ciągnąłem. - Wiedziałeś, gdzie będziemy go mogli złapać, ale bałeś się go.

- Potrzebny ci był ktoś, Karlu Olofssonie, kto by ci podał karabin, gdy przyjdzie pora strzelać - ciągnąłem. - Nie trzeba się wstydzić, że się człowiek boi. - Ten tam, ten wariat, on też się boi - dodałem zaraz. - Tam na bagnie, gdy się rzucił na śnieg, był tak cholernie wystraszony, że zrobił w spodnie. A potem był sparaliżowany tym postrzałem w nogę. Wiesz chyba, co znaczy słowo sparaliżowany?

Karl Olofsson zuł powoli kanapkę, wypił łyk wody, żeby łatwiej było przełknąć.

Było mi go żal, ale czasem trudno mi zachować milczenie.

- Wciąż jeszcze się go boisz, tego tam na pryczy. I to mimo że on śpi. Nie dowiedziałeś się, kim on jest ani jak się nazywa. Nie wiemy nawet, ile ma lat.

- Bałeś się - ciągnąłem - i dlatego chciałeś, żebym to właśnie ja poszedł z tobą. Zawsze trzeba się zastanowić i wyliczyć sobie - no nie?

14

Nie pamiętam zbyt jasno reakcji Karla Olofssona podczas naszej rozmowy, wiem tylko, że unikał mojego wzroku, że stawał się coraz bardziej milczący, milczenie jego nabierało coraz bardziej agresywnej treści.

Naturalnie jasne było dla mnie, że nie mógł nadażyć za moim rozumowaniem. Naturalnie zdawałem sobie dobrze sprawę, że sam nie uświadamiał sobie swego strachu, a w każdym razie nie chciał się do niego przyznać, akceptować go.

Oparł się o ścianę chaty, skulił się przy niej. Rozpiął szary kombinezon, mundur policyjny, aż do pasa, miał pod nim nieco jaśniejszy szary podkoszulek, prawdopodobnie z flaneli. Zdjął pas wraz z kaburą. Jego odzież mogła być odzieniem stolarza albo drwała mimo sztywnych naramienników i naszytych pasków szkiełek refleksowych. Nóż w pochwie dyndał jednak, zawieszony na guziku lewej górnej kieszeni.

- Jak się właściwie ciebie tytułuje? - zapytałem. - Ściśle urzędowo?

Starszy policjant czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju - odparł.

- W szesnastym stopniu służbowym? Żuł powoli, popijał, przetykał.

- Mniej więcej na poziomie płacy nauczyciela?

Nie wiedział, jakie pobory ma nauczyciel.

No cóż, oczywiście, że nauczyciele z punktu widzenia zawodowego stanowią silniejszą grupę niż policjanci. Jasne, że mają dużo lepsze warunki - już z powodu samej swojej liczebności - by wysuwać i domagać się podwyżek płac.

W naszej gminie na przykład jest ponad dwudziestu pięciu nauczycieli i tylko trzech funkcjonariuszy policji: komisarz i dwóch policjantów. A komisarz jest przede wszystkim oskarżycielem publicznym, a dopiero w drugiej kolejności policjantem.

Można sobie zadać pytanie, jaki zawód wymaga więcej od tych, którzy go wykonują: zawód nauczyciela czy policjanta?

Jak to już wspomniałem, nie pamiętam całkiem jasno reakcji Karla Olofssona podczas naszej rozmowy.

Siedział skulony na pryczy, oparty plecami i karkiem o ścianę.

- Nadał się go boisz - stwierdziłem. - Dlaczego się go boisz?

- Za dużo gadasz - odburknął.

Wiem, że czasem trudno mi milczeć.

Wskazałem na naszego głęboko śpiącego więźnia. - Żadna sztuka skłonić go do mówienia - rzekłem. - Do podania nazwiska, wieku, miejsca urodzenia i tak dalej. - Byleby tylko chciało się skłó-

nić go do mówienia - dorzuciłem zaraz.

Siedzieliśmy obaj nie śpiąc, on leżał głęboko uśpiony. Karl Olofsson odpowiedział wymijająco:

- To nie jest konieczne. Nie musi być akurat teraz. Możemy poczekać.

Jutro albo pojutrze.

- Czekać? Jutro? Albo pojutrze?

- Cholera - zaklął niecierpliwie.

15

Tak, wiem, właśnie w tym momencie Karl Olofsson przepelniony był antypatią do mnie.

- Spij, Kalle - powiedziałem. - Mamy jutro przed sobą daleką drogę. To moja wachta, moja kolejka czuwania. Gdy się jest bardzo zmęczonym, przyjemnie położyć się, wyciągnąć, posmakować jakby swojego zmęczenia i pozwolić sobie usnąć. No nie?

Wstał, przeszedł parę razy tam i z powrotem po izbie na sztywnych nogach, niepewnym krokiem.

- Papieroska? - odezwałem się podsuwając mu moją zmietoszoną paczkę.

- Dziękuję, nie chcę - odparł.

Naturalnie wiedziałem, że mi odmówi.

Karl Olofsson zajął moje miejsce na skrzyni z drzewem koło kominka.

Musiałem wyjść na dwór za potrzebą. Stałem w skarpetkach tuż za drzwiami. To trochę trwało i czułem, jak śnieg topnieje i wilgoć wsiąka w wełnę skarpet. Na wschodzie zaczynało się przejaśniać. Niebo było pokryte grubymi, nisko leżącymi chmurami. Wiatr osłabł. Śnieg przestał już padać. Jezioro było duże i białe.

Przyniosłem naręcze suchego drzewa, skoro już i tak znalazłem się poza domem.

16

Karl Olofsson siedział dalej na moim miejscu koło kominka. Rzuciłem brzemień drewna na podłogę.

W chacie było bardzo ciepło; prawdopodobnie ponad dwadzieścia pięć stopni.

Zostawiałem po sobie na podłodze ciemne ślady stóp.

- To stopiony śnieg - rzekłem - a nie pocące się nogi.

Nasz więzień wzdrygnął się we śnie, gdy rzuciłem drzewo na podłogę. Nie przebudził się, zakaszał parę razy, przewrócił się na plecy, wyjął ręce spod koca, otworzył i zamknął usta paroma suchymi, żującymi i przełykającymi ruchami. Potem odwrócił się do ściany i leżał całkiem spokojnie, oddychając bardzo głęboko. - Śpi - powiedziałem - on przełyka, Kalle, ale śpi jak niedźwiedź w zimie. Mimo że przełyka.

Karl Olofsson siedział pochylony do przodu, opierając brodę na dłoniach a łokcie na kolanach. Jego wygląd był niemal ponury: liczne poziome zmarszczki na czole, ciemny zarost, ciężkie worki pod oczyma, obwisłe policzki.

17

- Nauczycielski chleb ciężki do zgryzienia. Oto jeszcze jedno z wielu porzekadeł mojej babki.

- Tak mówisz? - rzekł Karl Olofsson.

Liczne są odmiany tego powiedzenia. Gorzki jest chleb nauczyciela, trudny jest zawód nauczyciela i tak dalej.

- Moja babka była nauczycielką - ciągnąłem. - Ten zawód przechodzi u nas w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Mój stary też był nauczycielem.

Uczyć innych.

Wiedzy w spadku nie dostaniesz - jeszcze jedno z przysłów mojej babki.

- Pamiętam, jak stałem przed moją pierwszą prawdziwą klasą - mówiłem - pierwszy dzień nauki, pierwsza lekcja. Wiesz, miałem pewne pomysły, pewne określone poglądy, jak sobie ułożę nauczanie albo raczej jak ułożę sobie współpracę z chłopakami. To była siódma klasa w Sztokholmie. A więc czternastolatki. Byłem trochę zdenerwowany. Przygotowałem sobie małe przemówienie o tym, jak sobie wyobrażam naszą współpracę.

- Bałeś się? - zapytał Karl Olofsson.

- Nie. Byłem tylko zdenerwowany. Wtedy jeszcze był całkiem inny system szkolny, nie było jeszcze koedukacji i tak dalej. - Wyobrażałem sobie, że będzie to pewna forma „pozytywnej współpracy” albo coś w tym rodzaju - ciągnąłem. - Mieliśmy pracować ramię przy ramieniu, nauczyciel i uczniowie.

Piękna idea. Urojenie. Do tego samego celu, wspólnie, ramię przy ramieniu.

Między innymi myślałem o tym, że chłopcom, a było to w ostatnim roku istnienia klas jednopłciowych, będzie wolno mówić do mnie „ty”. Przed moim dobrze przygotowanym przemówieniem miałem odczytać listę.

- Hm! - bąknął Karl Olofsson.

- Ale nie doszło nigdy do żadnego przemówienia.

Karl Olofsson patrzył na mnie pytająco.

- Postaraj się posłuchać - rzekłem. - Masz siły, żeby posłuchać? A może jesteś zanadto zmęczony?

W przedostatniej ławce w trzecim rzędzie licząc od okna siedział chłopak, któremu kończyła się już mutacja.

Zacząłem odczytywać listę obecności, od litery A, jak w nazwisku Andersson. Chłopak w przedostatniej ławce podniósł lewą dłoń z paskiem gumy napiętym między palcem wskazującym a środkowym. I strzelił do mnie złamanym spinaczem. Pocisk brzęknął mi koło ucha i uderzył z trzaskiem w tablicę. - „Zostaw to”, zwróciłem mu życzliwie uwagę. I dalej odczytywałem listę. A on dalej strzelał. Jeszcze dwa czy trzy spinacze przeleciały koło mnie.

- I co zrobiłeś? - zapytał Karl Olofsson.

- Dalej czytałem listę - odparłem. - Ale zaczęło mnie ścisnąć w żołądku. „Może być tak z tym skończył”, powiedziałem do chłopaka. Uśmiechnął się tylko i dalej strzelał. W klasie cicho jak makiem zasiał, jeśli nie brać pod uwagę odczytywania przeze mnie listy i tych małych pocisków, które od czasu do czasu uderzały z trzaskiem o tablicę. Tablica nie była notabene czarna, tylko zielona.

- Tak, hm - bąknął Karl Olofsson.

- To była próba sił - mówiłem. - Siedziałem na katedrze, przede mną trzydzieści napiętych wy-czekiwaniem twarzy, większość z płomiennie czerwonymi wypiekami na policzkach. Chcieli zobaczyć, ile potrafię znieść. W końcu ten chłopak trafił mnie w czoło. Podniosłem się bardzo spokojnie, podszedłem do niego. „Czy to było konieczne?” - zapytałem. „Co takiego?” - odparł i strzelił ostatnim przełamanym spinaczem w tablicę za katedrą. „Czy zawsze siedzisz w ławce, gdy twój nauczyciel z tobą rozmawia?” - zapytałem. „Nie - odrzekł. - Nie w ławce”. Podniósł się powoli i siadł na pulpicie. Patrzył mi hardo w twarz, uśmiechał się lekceważąco, a potem powiedział: „Czego chcesz, staruszk?” - A co ty zrobiłeś? - zapytał Karl Olofsson.

- Nie wygłosiłem nigdy mojego dobrze przygotowanego przemówienia.

- A ten chłopak?

- Zgadnij!

Karl Olofsson ściągnął brwi. Siedział dalej pochylony do przodu z brodą opartą na dłoniach i łokciami opartymi na kolanach.

- Widzisz - ciągnąłem - tyle jest rzeczy, których nie możesz pojąć.

Choć tego to ty nie rozumiesz.

Karl Olofsson nawet nie drgnął.

- Cholernie dużo gadasz - skonstatował.

18

- On tam leży i śpi jak niedźwiedź w zimie - powiedziałem. - Albo jak jeź, albo wąż czy smużka, czy jakaś inna cholera. A my nad nim czuwamy.

Przeszedłem parę razy po izbie, a ciemne ślady moich mokrych skarpetek stawały się coraz mniej wyraźne. Karl Olofsson szedł za mną wzrokiem.

- Smużka, najmniejszy ssak świata. Smużka zmieści się w pudełku od zapalek - wiedziałeś o tym, Kalle?

- Wieloryby to największe zwierzęta, jakie kiedykolwiek żyły na naszej biednej kuli ziemskiej, mam na myśli wale - dorzuciłem.

- Czyś widział kiedyś smużkę? - zapytałem po chwili.

Milczał. Siedział w dalszym ciągu pochylony do przodu, ze zmarszczonym czołem i obwisłymi od zmęczenia policzkami.

- Mam taką fotografię - dodałem. - Wyciągam na niej dłoń, a smużka siedzi skulona na czubku mojego kciuka.

Wieloryb waży pięćdziesiąt milionów razy więcej niż smużka - to niepojęte dla tych, którzy nie mogą tego pojąć, Kalle! Oba te zwierzęta to ssaki, oba mają woreczek żółciowy, nerki, płuca, śledzionę, podobne oczy, kiszki. I oba mają tego samego rodzaju serca z dwoma przedsionkami i dwiema komorami.

To niemal niepojęte także dla tych, którzy mogą to pojąć.

- Dlaczego jesteś taki milczący, Kalle?

Wykręcił głowę i splunął w ogień.

Można było dostrzec słabe światło nad kocem zasłaniającym okno.

- Zaczyna się robić ranek po drugiej nocy - rzekłem.

19

Siedziałem na ławce przy stole. Z wolna świtało. Owinąłem się kocem zarzuconym na barki. Było mi trochę chłodno, choć w chacie musiało być co najmniej dwadzieścia pięć stopni ciepła. Karl Olofsson dorzucił do ognia trzy czy cztery polana.

Nasz więzień, złapany młodzik, leżał odwrócony do nas plecami. Mimo iż był przykryty kocem, widać było, że prawą nogę miał wyprostowaną, a lewą wysoko podciągniętą. Wciągał powietrze powoli przy wdechu, zatrzymał je dość długo w płucach i wydmuchiwał przy wydechu dosyć gwałtownie, równocześnie przez usta i przez nos.

- On śpi - powiedziałem. - Gdy się zbudzi, będzie całkiem wypoczęty, zobaczysz!

Karl Olofsson skrzywił się niecierpliwie - ściągnął kąciki ust, a równocześnie potrząsnął głową.

- O czym myślisz? - zapytałem.

Bo przecież musiał o czymś myśleć. Czasem trudno jest myśleć. Ale jest całkiem niemożliwe nie myśleć.

- Może zacząłeś się zastanawiać nad tym wielkim problemem - ciągnąłem - z którym niebawem będziemy musieli się uporać? Czy to o tym myślisz, Kalle? Masz taką zmartwioną minę - dorzuciłem zaraz. - Trzeba się zastanowić i wszystko sobie wyliczyć, no nie, Kalle?

Wstał i podszedł do mnie.

- Wiesz, co myślę? - powiedział.

Siedziałem spokojnie.

- Tam na bagnie - ciągnął - tym, kto bał się najbardziej, nie byłem ja.

Ani też nie on...

- Nie ty, nie on, tylko ja! - przerwałem mu.

- Właśnie ty! - powiedział wyciągając ku mnie dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym.

- Uważasz, że ja miałbym się bać tego tam, tego chłopaka?

Podszedł do mnie, oczy jego zwęziły się w szparki, dobrze znane zmarszczki między brwiami pogłębiły się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, górna warga napięła się, a dolną ściągnął tak bardzo w dół, że obnażył przednie zęby dolnej szczęki.

Nie mówił, tylko krzyczał:

- Uważam, że nie zdajesz sobie sprawy, że to ja ponoszę odpowiedzialność!

Potem zrobił pełny obrót, podszedł do kominka i wlał czerpak wody do imbryka z kawą.

- Jesteś stanowczo zbyt hałaśliwy - powiedziałem. - Zbudzisz naszego gościa.

Złapany, obcy, patrzył na nas czujnymi oczyma, nie tylko czujnymi, ale i ciekawymi.

- Gdy mówisz tak głośno - ciągnąłem - nie powinieneś podchodzić tak blisko do tego, do kogo mówisz. Opluwasz się.

Otarłem twarz chusteczką do nosa.

- Nie wiedziałem, że potrafisz wpaść w taką pasję - dodałem. - Marie nigdy nie wspominała, że potrafisz być taki wściekły i tak stracić panowanie nad sobą.

Wsyłał resztkę kawy do imbryka.

- I jeszcze jedno - dorzuciłem. - Powinieneś pójść do dentysty i poradzić się w sprawie swego oddechu.

Milcząc postawił na stole kubki, masło, chleb i ser.

- Nie lubię przemocy - powiedział swym zwykłym spokojnym głosem - nigdy nie lubiłem przemocy.

Nie ruszałem się z miejsca.

Rozmowa z Karlem Olofssonem była emocjonująca i interesująca. Trudno mu było ściśle się wyrażać i nigdy nie było pełnej i wyraźnej ciągłości w jego różnych wypowiedziach i twierdzeniach.

- Kto, u licha, lubi przemoc? Ale - dodałem - są sytuacje, kiedy trzeba stanowczości i siły. Siła to nie to samo, co przemoc. Sprawa ma się zatem tak - ciągnąłem - że są ludzie, których trzeba traktować inaczej, niż się traktuje zwykłych ludzi.

Trzymał imbryk nad ogniem na ciężkim żelaznym drażku. Podniósł go, gdy groziło, że kawa się wygotuje.

- Dlaczego chciałeś, żebym to właśnie ja poszedł z tobą - powiedziałem.

- Uważasz, że gadam za dużo. Bo też i tak jest. Za dużo gadam. I mówisz, że nie lubisz przemocy. Kto, u diabła, lubi przemoc! - dodałem zaraz. - Myślisz co innego niż mówisz. Ale jesteś na właściwym tropie. Jest coś, czego nie lubisz, coś, co jednak czasami jest konieczne. I dlatego chciałeś, żebym to właśnie ja ci towarzyszył.

Odczepił koc, którym zasłonięte było okno. Zaczynał się robić jasny poranek. Chmury były grube i niskie, a powietrze pod chmurami przeniknięte mgiełką, ranek ze światłem bez cieni.

- Wiatr ustał - skonstatował.

- Wiatr ustał już wiele godzin temu - odparłem.

Wyjrzałem przez jedyne okno chaty. Pogoda zupełnie nie nadająca się do poszukiwań samolotem. Nocny wiatr i śnieżycy zatarły poza tym wszelkie ślady, zarówno nasze, jak i złapanego więźnia.

Byliśmy bardzo daleko od osiedli, w nie zamieszkałej dolinie. - Żaden czort się nie domyśli, gdzie jesteśmy - rzekłem.

Karl Olofsson postawił na stole trzy kubki. Nalał kawy do wszystkich trzech.

- Chcesz kawy? - zwrócił się do naszego więźnia.

Tamten siedział na pryczy i patrzył na nas czujnymi oczyma, czujnymi, jasnymi, badawczo ciekawymi oczyma.

- Nie pijam kawy - powiedział.

Głos jego był zadziwiająco dźwięczny i równie zadziwiająco wyraźny.

- Do cholery, nie musisz - wtrąciłem.

Złapany młodzik odsunął koc i spuścił nogi z pryczy, postawił stopy na podłodze. Dokonał tego spokojną i płynną serią ruchów. Musnął parę razy dłońmi swoją uszkodzoną łydkę. Wstał. Stąpił na próbę prawą nogą. Potem lekko kulejąc zrobił parę kroków, podszedł do wiadra z wodą i wypił z czerpaka kilka łyków.

Był wysoki i barczysty. Pamiętam, że znowu zrodziły się we mnie wątpliwości co do jego wieku. Mógł być grubo starszy, niż nam się zrazu zdawało. Mógł też być taki młody, jak to zrazu sądziłiśmy. I mógł też być dużo starszy, wyglądając równocześnie na młodszego, niż istotnie był.

Wrzucił czerpak do wiadra i lekko utykając zbliżył się do stołu. Miał duży, wydatny nos i dwie silnie zaznaczone łukowate linie, które zaczynały się tuż nad skrzydełkami nosa, dotykały kącików ust, ciągnęły się dalej w dół i zacierały się w miejscu, gdzie skóra twarzy napinała się na dolnej szczęce.

Zarost jego nie wyglądał teraz na młodzieńczo kędzierzawy. Jego kulenie było tylko lekkim utykaniem. Zraniona noga musiała być całkiem nieznacznie uszkodzona.

Staął tuż przy mnie i pochylił się ze spokojną pewnością siebie nad nakrytym stołem. Nożem Karla Olofssona ukroił sobie grubą pajdę chleba, nasmarował masłem, odkroił równie gruby plaster sera.

- Dobrze, że jesz - powiedział Karl Olofsson. - Trzeba jeść! Weź sobie jeszcze jedną kromkę.

Ser był doskonały, zupełnie świeży ser jemtlandzki. Miał piękny kolor. Co do konsystencji nie był ani ciagliwy, ani krupiasty, tylko elastyczny, łatwo dający się krajać. Był to ser dziecinny ze względu na łagodność smaku. Był to ser dla rutynowanych smakoszy sera ze względu na subtelne właściwości smakowe, jakie można znaleźć tylko w łagodnych i krótko składowanych serach.

- Bzdury - orzekł Karl Olofsson.

- Naturalnie - odparłem.

- Dobrze, że jesz - rzekł Karl Olofsson. - Musimy dziś daleko zajść, ty i my obaj.

Nasz więzień przeciągnął się i nadgryzł swoją pajdę chleba - nie bez apetytu. Musiał pewnie być dosyć głodny. Był o pół głowy wyższy ode mnie. W barach szerszy niż Karl Olofsson. Ramiona miał wprawdzie chude, ale długie i żylaste.

22

- Mamy przed sobą daleką drogę - ciągnął Karl Olofsson.

- Ja nie - rzekł nasz więzień żując chleb z serem.

Trudno mi było wyrobić sobie określony pogląd na jego wiek. Gdy leżał w śniegu na bagnisku wydawało mi się, że to jeszcze chłopak. W ciągu nocy, w chacie, postarzał się. W porannych godzinach wydawał się jakby odmłodzony.

Może wyglądał wtedy nawet na młodszego, niż był w rzeczywistości. Nie można było z pewnością powiedzieć, czy to jeszcze młodzik, czy niemal dorosły mężczyzna.

- Mamy przed sobą daleką drogę - powtórzył Karl Olofsson.

- Ja nie - odparł nasz więzień.

Uśmiechnął się szybko, gryząc chleb z serem, lekko kulejąc wrócił na swoją pryczę, usiadł na pasiastej poduszce, podciągnął ostrożnie nogi, oparł się o ścianę.

Zajadał chleb z serem i uśmiechał się do nas.

- Ja nie - powiedział ponownie. I zaraz dodał takim samym spokojnym, stanowczym głosem: - Ja zostanę tu w tej chacie.

- Pójdiesz jednak z nami - rzekł Karl Olofsson.

- Wytniemy dla ciebie kulę - dodałem. - Jeśli istotnie potrzebujesz kuli, żeby iść.

Napiłem się kawy i zjadłem kilka kromek chleba.

- Doszliśmy do tego wielkiego problemu. Zastanowiłeś się nad tym, Kalle? Ty, Który wszystko wylczyłeś i obmyśliłeś?

- On pójdzie z nami.

- Dlaczego mówisz tak cichym głosem?

- Cichym głosem? - Karl Olofsson wzruszył ramionami.

Obaj byliśmy bardzo zmęczeni. Zrobiliśmy wiele mil po puszystym śniegu i nie spaliśmy przez dwie doby - albo i trzy, jeśli liczyć noc przed tymi dwiema dobami.

- Nie lubię przemocy - powiedział. - Nigdy nie lubiłem przemocy.

- I dlatego chciałeś, żebym to właśnie ja z tobą poszedł - odparłem.

23

Karl Olofsson wyjrzał przez jedyne okno chaty.

- Pora - powiedział i wstał.

- Pora?

Przygotowywać się, spakować rzeczy, ruszać w drogę.

Mieliśmy przed sobą daleką drogę. Pokrywa śnieżna zrobiła się podczas nocy dużo grubsza. Ciężko jest iść w głębokim śniegu. Byliśmy bardzo daleko od ludzkich osiedli. Trzeba było przejść wiele mil po głębokim, puszystym śniegu. Nikt nie wiedział, gdzie się znajdowaliśmy. Byliśmy bardzo samotni.

Karl Olofsson postawił plecak na stole i zaczął pakować swoje manatki.

- Słyszałeś - zwróciłem się do naszego więźnia, do schwytanego młodzika - zbieraj się! Musimy ruszać w drogę!

Postawiłem swój plecak na stole obok plecaka Karla Olofssona.

- Teraz się zacnie - powiedziałem do niego.

- Co takiego? - odrzekł.

Wiedział naturalnie równie dobrze jak ja, o co chodzi, jakkolwiek brak mu było daru wyraźnego wypowiedzenia się.

- Ja zostaję tutaj - rzekł nasz więzień.

- Mowy nie ma, do cholery - burknąłem.

24

Podszedłem do jego łóżka. Żuł chleb z serem i patrzył na mnie wzrokiem, który można określić jako nonszalancki i arogancki. Na górnej wardze wyrósł mu całkiem wyraźnie odznaczający się wąs. Uszy miał duże. Szyję długą, umięśnioną i żylastą.

- Słyszałeś? - powiedziałem.

- Tak - odparł.

- No to zbieraj się!

- Hm - bąknął.

- Możesz zacząć od włożenia butów!

Wstał wyzywająco powoli, schylił się, podniósł swoje buty, utykając przeszedł parę kroków. Patrzył na mnie nie odwracając wzroku. Nagle upuścił buty, albo raczej cisnął nimi o podłogę. Potem podszedł do wiaderka z wodą.

Pił tak długimi i głębokimi łykami, aż dostał zadyszki i musiał zrobić przerwę.

Patrzył na mnie ponad plastikowym czerpakiem. - Mam pragnienie - powiedział. Uśmiechnął się, ale nie było śladu humoru ani w jego uśmiechu, ani w wypowiedzi.

Karl Olofsson stał za mną. Pakował plecak. Słyszałem odgłos jego kroków, dźwięk przedmiotów, wkładanych do plecaka lub do zewnętrznych kieszeni, szelest jego policyjnego kombinezonu, gdy pochylał się lub obracał. Żelazne rury stelaża postukiwały lub szurały lekko i szorstko o blat stołu; choć nie widziałem tego, jestem przekonany, że odwrócił się do nas tyłem.

Młodziak, jeśli to był rzeczywiście młodzik, wyglądał na bardzo spragnionego. Mimo to nie mógł wypić całego czerpaka wody. - No! - ponagliłem go. Wylał resztę wody do wiadra. Była to czynność prosta, która jednak coś niecoś o nim mówiła. Nie był mieszkańcem Sürmlandii, a w każdym razie żadnego miasta w Sürmlandii. Musiał wzrósć w głębi Norrlandii.

Mieszkaniec Vestgetlandii na przykład albo Skanii, guteborczyk czy mieszkaniec Sztokholmu wylałby resztkę wody do wiadra na odpadki. Albo otworzył drzwi i wychlusnął wodę na ziemię.

Wypuścił z ręki pusty czerpak, który z pluskiem spadł do wiadra. Także i to był postępek typowy dla mieszkańca Norrlandii.

25

Pamiętam, że właśnie w tym momencie, raptownie zacząłem doszukiwać się gwarowych cech w jego głosie. Nie mogłem natrafić na żadne cechy gwary, ani na dźwięczne „i” mieszkańców Medelpad, ani na dwugłoski Vesterbotnijków, ani na muzykalne „u” mieszkańców Jemtlandii. Ani też na flegmatyczną śpiewność Norrbotnijków.

Jego głos był tylko zadziwiająco dźwięczny.

- Włóż buty - powiedziałem. - Słyszysz!

Pchnąłem go w stronę jego butów i w stronę pryczy.

- Nie rusz mnie! - warknął.

- No!

- Nie rusz mnie!

Uderzył nagle, ciął jak biczem jedną ręką. Zrobiłem unik, ale kostki jego pięści otarły się o moje dolne żebra. Cios był gwałtowny.

Większa część naszych licznych żeber połączona jest z sobą mostkiem, tworzą wspólnie dość sztywny pancerz osłaniający płuca i serce. Dwa najniżej położone żebra są zbyt krótkie, ich czubki nie stykają się. Są one łukowato wygięte wokół jamy brzusznej, ale jej nie osłaniają, raczej spoczywają na niej.

Jego kostki otarły się o te najniżej położone żebra. Był to cios gwałtowny jak uderzenie batem. Żebra zgięły się i prawa pięść młodzika dosięgła aż do plexus solaris, dobrze znanego i osławione-

go splotu nerwowego.

Był to, jak mówiłem, cios gwałtowny. Ale że w ostatniej chwili zrobiłem unik, stracił znacznie na skuteczności. Pociemniało mi jednak przed oczyma, zabolalo mnie cholernie, nie mogłem odechnąć, byłem bliski torsji.

Natychmiastowy efekt tego ciosu był bardzo krótkotrwały, dwie albo trzy sekundy.

Po czym skoczyłem na niego.

Nie mogę naturalnie w najmniejszych szczegółach pamiętać przebiegu wypadków.

Mój skok powstrzymał Karl Olofsson. Złapał mnie za sweter.

Nasz więzień stał skulony około drzwi spiżarki. Szeroko rozstawione nogi, lekko ugięte kolana, pochylona do przodu górna część tułowia. Głowa odrzucona w tył, oczy szeroko rozwarte, na wpół otwarte usta. Zdaje mi się, że się trochę uśmiechał. W prawej ręce trzymał żelazny drążek, pogrzbacz. Lewe ramię odchylił skośnie do tyłu, skośnie w dół. Dłoń była otwarta, z lekko zgiętymi palcami. Poruszała się powoli, drobnymi, nieregularnymi kolistymi ruchami. Lewe ramię wydawało się narzędziem równowagi w taki sam sposób, w jaki lewe ramię jest narzędziem równowagi dla praworękiego szermierza.

- Nie rusz mnie - syknął.

Karl Olofsson trzymał mnie mocno za sweter. Również i on stał na szeroko rozstawionych nogach z lekko ugiętymi kolanami.

Usiłowałem się uwolnić, wciąż jeszcze cholernie mnie bolało i wciąż jeszcze trudno mi było oddychać. Nie mogłem się przedostać przez wyciągnięte ramię Karla Olofssona.

- Nie rusz mnie - syczał młodzik cichym głosem. - Do cholery! Nie rusz mnie!

Żelazny drążek był dłuższy niż ludzkie przedramię normalnej długości.

Miał co najmniej cal grubości. Było to żelazo zbrojeniowe. Zwrócony przeciw nam koniec był skośnie ucięty, miał ostrze albo raczej szpic. Powierzchnia odcięcia wciąż jeszcze była lśniąca. Z jakiegoś powodu wszyscy - zarówno ci goście ze spółki leśnej, jak i my - grzebali w żarze ogniska drugim końcem.

Drążek musiał ważyć co najmniej ze dwa kilo.

- Spokojnie, Olle - powstrzymywał mnie Karl Olofsson. Usiłowałem się uwolnić, przemknąć się obok jego wyciągniętego ramienia. Nie udało mi się.

Wyciągnął drugą rękę do młodzika - jeśli to istotnie był młodzik. - Oddaj to! - powiedział.

Znajdowaliśmy się w bezpiecznym oddaleniu, o co najmniej dwa, może trzy metry.

- Daj no ten drążek - powtórzył Karl Olofsson z wyciągniętą ręką.

Rzecz jasna było to niedorzeczne wezwanie. Nasz więzień stał skulony, na szeroko rozstawionych nogach. Trzymał drążek skierowany przeciw nam, nieco uniesiony w górę, dostatecznie wysoko, by móc uderzyć.

- Nie rusz mnie! - syczał.

- Dawaj to - rzekł Karl Olofsson z wyciągniętą lewą ręką. Rękaw podsunął mu się w górę i blizny po szarpanych ranach od psich klów stały się w pełni widoczne.

Ból w mojej przeponie ustał. Wyprostowałem się i zrobiłem krótki krok w tył. Dłoń Karla Olofssona wciąż wczepiona była w mój sweter. Wzdrygnął się i skrzył dziwnym ruchem. Musiał mieć pęknięty paznokieć na wielkim palcu.

Pęknięcie zaczęło się w niefortunny sposób o sweter. Robiąc krok w tył, wyrwałem mu pół paznokcia. Zatrzymałem się.

- Daj to - powiedział Karl Olofsson, ostatni raz wyciągając rękę do naszego więźnia.

A potem opuścił ją i cofnął się. Ostrożnie odczepił na pół wyrwany paznokieć na kciuku od mojej koszuli czy swetra.

- To żadna sztuka - powiedziałem - jeśli tylko chcesz, to żadna sztuka odebrać mu drążek.

Włożył zraniony kciuk do ust.

- Nie chcę tu bójki - rzekł.

Niemal zupełnie zerwany paznokieć na wielkim palcu może sprawiać wielki ból.

- Przecież to cholerny wariat - upierałem się.

- Właśnie dlatego - odparł Karl Olofsson i spojrzał na swój palec.

Cofnęliśmy się o kilka kroków.

Nasz więzień, bez względu na to, w jakim był wieku, usadowił się szybko z powrotem na pryczy. Zrobił to niemal błyskawicznie, tak szybko, że prawie nie zdążyliśmy zareagować.

- Jak wąż - stwierdziłem.
Albo jak wystraszona wiewiórka.

26

Czubki palców, a więc i paznokcie, są bardziej wrażliwe na ból niż większość innych części ciała ludzkiego.

- Mam szwagra, który jest majorem - powiedziałem. - A więc żołnierzem. Raz zdarzyło mu się zranić piłą w wielki palec - ciągnąłem. - Dla przyjemności chciał zapalić na kominku w wycieczkowym domeczku.

Nowoczesne piły produkcji fabryki w Sandviken są cholernie funkcjonalne.

Jedno niefortunne pociągnięcie piłą i mój szwagier dokonał efektownego cięcia od czubka kciuka do miejsca tuż ponad nasadą paznokcia. Bardzo piękne cięcie, nieco ponad milimetrowej szerokości, przez kość w górnym członie kciuka, przez mięsień i stwardniałe blaszki paznokcia. Całkiem świeża rana nie boli - dorzuciłem.

Karl Olofsson oblepił plastrem swój kciuk i na wpół zerwany paznokcieć.

- Mój szwagier, ten major, polał ranę zimną wodą - kontynuowałem. - Zaraz potem zemdłał. Położyliśmy go na łóżku, był dość ciężki. Leżał zemdlony przez trzy minuty. Trzy minuty to niedługo. Jego odprężenie było niemal całkowite. Przez te trzy minuty zdążył wypróżnić zarówno pęcherz moczowy, jak i kiszkię stolcową.

Nasz więzień siedział na swojej pryczy i uśmiechał się do nas. Jego wzrok był czujny, ciekawy. Nie można było rozstrzygnąć, czy ma osiemnaście lat, czy dwadzieścia osiem. Żelazny drążek oparł sobie o ramię. Zwrócony w górę koniec drążka był spiczasty, ostry. Ramiona miał szczupłe, ale równocześnie żylaste i muskularne.

- Kiedy mnie uderzył, trafił w plexus Solaris - rzekłem.

- Widziałem - odrzekł Karl Olofsson.

- Nie wierzę, żebyś zdążył coś zobaczyć.

Plexus Solaris to znany i wrażliwy splot nerwowy.

Często mówi się o nim w kołach bokserskich. W kołach bokserskich nazwę tę wymawia się zawsze z nieco błędnym akcentem.

27

Karl Olofsson nie słuchał. Dalej pakował plecak. Robiło się coraz jaśniej.

Nagle zatrzymał się, zwrócił do naszego więźnia.

- No? - zapytał. - Jak będzie?

Głos jego był bardzo miękki i życzliwy.

- Ja zostaję - odrzekł młodzik, w dalszym ciągu żując grubą pajdę chleba.

- Mowy nie ma, do cholery - powiedziałem. - Idziesz z nami!

Patrzył na mnie całkiem otwartym, czujnym wzrokiem. Żuł długo i dokładnie, zanim przełknął.

- Masz zamiar mnie nieść? - zadrwił w końcu.

Miał bardzo ciemne oczy i bardzo jasne białka oczu.

Wyciągnął rękę. Karl Olofsson nabrał wody z wiadra i podał mu czerpak.

Chłopak musiał być bardzo spragniony.

Napił się i postawił czerpak na stołku obok talerza z brązową fasolą i smażonym bekonem. Płaty bekonu wyglądały bardzo nieapetycznie. Fasola zmieniła się w zaschniętą, pokrytą kożuchem i pyłem kupkę czegoś, co bardziej przypominało ekskrementy niż jedzenie.

- Gdybym był zamożnym człowiekiem - odezwałem się do Karla Olofssona - to ciebie zatrudniłbym jako lokaja i szofera, tak gdzieś w granicach osiemnastego stopnia tabeli płac albo coś w tym rodzaju.

Złapany młodzik uśmiechnął się do mnie, zaśmiał się niemal cicho, zanim jeszcze raz zwilżył wodą jamę ustną i przełyk.

- Masz zamiar mnie nieść? Cholernie trudno - dodał zaraz - nieść kogoś, kto nie chce być niesionym.

Karl Olofsson rozwiązał zrobiony z koca węzełek z licznymi kłopotami młodzika. Powkładał

wszystko do plecaka, z którego je wyjęliśmy.

28

Karl Olofsson powziął już decyzję. Można to było wyraźnie poznać po jego czynnościach i ruchach. Milcząc pakował w dalszym ciągu oba plecaki, swój własny i schwytanego młodzika.

Rzucił mi cztery koce, jakie zastaliśmy w chacie. Zwinąłem je możliwie najciaśniej - były dosyć zniszczone i wytarte - by zrolować je potem na moim plecaku, mniej więcej w taki sposób, w jaki niemieccy żołnierze z pierwszej wojny światowej przywiązywali ciasno zrolowany koc na tornistrze.

Niewyraźnie zachował mi się w pamięci obraz żołnierzy francuskich: nosili oni koce zrolowane bardziej podłużnie i przełożone przez ramię i pierś skośnie w dół w stronę przeciwległego biodra. A może to byli Anglicy - nie zawsze można polegać na swojej pamięci.

Karl Olofsson to człowiek roztropny. Chodzi o to, by zastanowić się i wyliczyć sobie, obejść, wyprzedzić, zacząć się i czekać.

- Udało nam się - powiedziałem. - Ale później? Teraz? - Rzucił mi ostre spojrzenie.

- Poczekaj chwilkę - powiedziałem - uspokój się!

- Nikt nie jest spokojniejszy ode mnie - odparł.

- Wyciągnij rękę - rzekłem.

Z pewnym wahaniem wyciągnął ku mnie lewą rękę. Był przecież mańkutem. Można było stwierdzić, że twarz miał otwartą, całkiem bez aktorstwa i udawania - wąskie oczy, pionowe zmarszczki między brwiami, rozszerzone nozdrza, pytające, na wpół otwarte usta.

- Podnieś palec wskazujący - dyrygowałem. - Prosto do góry!

Zrobił to, o co go prosiłem. Mógł odmówić, lecz zrobił to, o co go prosiłem.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał.

- Bagatelka - odparłem. - Nie potrafisz utrzymać palca nieruchomo. Drży niczym oscylator.

- O czym ty gadasz, do jasnej cholery!

Naturalnie mogłem być uniknąć terminu „oscylator” i wybrać inne, łatwiej zrozumiałe słowo. Ale ty podniosłeś palec, kiedy cię o to poprosiłem!

29

- Patrząc na sprawy czysto praktycznie - ciągnąłem - czy nie mógłby jeden z nas zostać tu w chacie, podczas gdy drugi poszedłby po pomoc?

- I czuwać jeszcze jedną dobę? - odparł Karl Olofsson.

Jak długo może czuwać bezsenność człowiek wyczerpany?

Pamiętam, że schwypany młodzik (jeśli to rzeczywiście był młodzik) uśmiechnął się szeroko. Był o pół głowy wyższy zarówno ode mnie, jak i od Karla Olofssona. Był młody i ostatniej nocy spał co najmniej sześć godzin.

- Ja mogę tu zostać - zaproponowałem. - Ty idź po pomoc, a ja zostanę i poczekam.

- Ty? - powiedział Karl Olofsson.

- Jeśli ty jesteś zanadto zmęczony! - odrzekłem. Ironia, która okazała się zupełnie zaprzepaszczona. Jest oczywiście nonsensem ironizować w rozmowach z ludźmi, którym brak jest zdolności rozumienia ironii.

- Czasem można ukryć strach za czymś tak banalnym jak fizyczne zmęczenie. To przecież ty ponosisz odpowiedzialność - dodałem.

30

Buty schwytanego młodzika, o dość wysokich cholewkach, leżały na podłodze w miejscu, gdzie je rzucił. Karl Olofsson schylił się, podniósł je i podał mi.

Przyszło mi na myśl coś, co opowiadał wiele razy.

Trudno jest nieraz transportować aresztowanych z naszej wsi do siedziby powiatu. Droga jest daleka i biegnie przez odludne tereny. Umieszcza się ich zatem na tylnym siedzeniu samochodu, a potem zabiera się im buty. Nikt nie ucieka w samych tylko skarpetkach, ani w lecie, ani w zimie. Za-

biera się im całkiem po prostu buty.

Kajdanki - mówił Karl Olofsson - to coś, czego bardzo nie lubię. To cholerna rzecz krępować człowiekowi dłonie. Bez względu na to, kim jest on czy ona. Zwłaszcza jeśli to nie jest absolutnie konieczne.

Nieczęsto się zdarzało, by Karl Olofsson musiał odstawiać przytrzymanych z naszej wioski, może dwa lub trzy razy na rok.

- Tu masz - powiedział. - Zajmij się jego butami!

Wziąłem od niego buty młodzika.

- Nasz więzień nie jest ani Lapończykiem, ani Eskimosem, ani Lamutem.

- Lamutem?

- To tylko szczątek narodu - odparłem - tunguski szczep, jeden z wielu w radzieckim morzu narodów.

Trochę trudno poruszać się w pokrytym wczesnym śniegiem terenie w samych tylko skarpetkach.

31

Postawiłem buty na stole.

Był ranek, światło wpadało przez okno do wnętrza izby. Nasza trzecia i ostatnia świeca płonęła wciąż jeszcze, przyklepiona do blatu stołu. Przykryłem ją szklanką i świeca zgasła po paru sekundach.

Jak wspomniałem, zdawałem sobie sprawę, że Karl Olofsson powziął już decyzję. Decyzja ta była w gruncie rzeczy słuszna. Ale patrząc szerzej była jednak błędna. Karl Olofsson powinien był od początku występować z większą stanowczością, z większym autorytetem wobec schwytanego młodzika. Są ludzie, z którymi trzeba obchodzić się twardo, niemal brutalnie.

- Czy wystarczy zabrać mu buty? - zapytałem.

Karl Olofsson nie słuchał. Powrócił do pakowania swego plecaka. Nie przypuszczał, że postąpię jak prowokator. Wciąż jeszcze był zbyt wylękniony, zbyt chwiejny i sądził prawdopodobnie, że ja jestem równie chwiejny i wylękniony jak on.

Zbliżyłem się do pryczy młodzika możliwie jak najbardziej niewinnie.

Opierał się plecami o ścianę, siedział, a raczej leżał prawie z wyprostowanymi nogami. Przypuszczałem, że czuł się pewny i bezpieczny. Skarpetki miał ciemne i grube.

Zrobiłem szybki krok i ściągnąłem mu jedną skarpetkę.

Nie jestem w stanie obiektywnie opisać tego, co potem nastąpiło. Świadek, który zostaje wciążgnięty w bardzo szybki i dramatyczny przebieg wypadków, jest złym świadkiem.

Wymierzył mi mocnego kopniaka, który trafił mnie tuż pod grdyką.

Kopniak był równie paraliżujący, jak jego poprzedni cios pięścią w plexus solaris. W chwilę potem stał już na równych nogach i zamachnął się ciężkim drążkiem ze zbrojeniowego żelaza. Cios trafił w boczną deskę górnej pryczy. W innym razie byłby mi zmiażdżył czaszkę.

Zdażył podnieść drążek ponownie, ale nie zdołał już uderzyć po raz drugi.

Karl Olofsson rzucił się na niego, tarzali się po izbie, przewrócili ławy i stółek.

Zepsuta prymusówka i miednica spadły na podłogę.

Trudno mi było interweniować - w niemałym stopniu także z powodu bólu w szyi i grdyce. Udało mi się jednak uderzyć go żelaznym drążkiem - upuścił go - w zgięcie kolana, a potem leżał już na łopatkach, a Karl Olofsson siedział na nim okrakiem. Wiercił się i kopał jak opętany, ale nie mógł się wyswobodzić. Ściągnąłem mu także drugą skarpetkę.

Chwycił Karla Olofssona za głowę ohydny uchwytem za uszy i policzki.

Palce miał długie, żyłaste i sękaty, tak samo jak ramiona. Paznokcie wpijały się w zagłębienia za uszami Karla Olofssona i w miękką skórę policzków. Dłonie zaciskały się niemal kurczowo. Jeden kciuk wciśnięty był w kącik ust, we wnętrze policzka. Paznokieć wskazującego palca drugiej dłoni zaczął się mocno o dolną powiekę - jeśli to się nazywa dolna powieka - o dolną powiekę lewego oka Karla Olofssona. Ścisnął dłonie kurczowo, gałka oczna była całkiem odsłonięta i wydawało się, że wypłynie ze swojej jamy. Paznokieć ranił cienką śluzówkę. Oko było silnie przekrwione.

Uchwyt, w którym trzymał głowę Karla Olofssona, był ohydny, wstrętny.

Nie trzymał dłoni spokojnie, zaciskał je, darł i szarpał jak szaleniec. Bo też to był szaleniec.

Karl Olofsson był od niego silniejszy. Trzymał w mocnym uchwycie przeguby swego przeciwni-

ka, ale nie mógł się oswobodzić od jego dłoni.

Nie sądzę, bym kiedyś widział tak zmienioną i udreńczoną twarz, jak twarz Karla Olofssona w tym momencie. Policzki ciągnięte do tyłu, uszy rwane do przodu, kciuk pod wargą w kąciku ust, niemożliwie rozciągnięte usta, paznokcie, które wbijały się w skórę, szeroko otwarte, zadraśnięte i przekrwione oko.

Usiłowałem oderwać te dłonie, ale nie mogłem dobrać się do palców i paznokci. Pogarszałem tylko sytuację Karla Olofssona.

Zgubiłem żelazny drążek i nie mogłem go odnaleźć; okazało się później, że potoczył się pod jedną z prycz.

Zadałem mu, temu młodzikowi, kilka ciosów w policzki otwartą dłonią. Nie reagował. Tłukłem jego karkiem o podłogę. Nie pomagało. Podniosłem się i kopnąłem go z całej siły w bok ponad kością biodrową. Nie włożyłem jeszcze butów i zabolowały mnie palce stopy. Zaraz potem kopnąłem go w klatkę piersiową, tym razem z całej siły i wkładając w ten kopniak cały swój ciężar.

Mój postępek można uznać za brutalny, ale był konieczny i skuteczny.

Nasz więzień rozluźnił chwyt, w którym trzymał twarz Karla Olofssona, tak że ten mógł go unieruchomić przyciskając jego ramiona do podłogi. Ściągnęliśmy z niego sweter. Dostał ataku hysterii. Wił się jak wąż, miotał się jak opętany. Był mokry od potu. Z tego, co wykrzykiwał, tylko cztery słowa były zrozumiałe: - Dajcie mi spokój, cholera!

Wkrótce potem ucichł i dał za wygraną. Karl Olofsson podniósł się z podłogi, chwycił go za ramię i cisnął na pryczę. Młodzik skulił się w pozycji na wpół siedzącej, oparty o ścianę. Dyszał.

Nogi miał bose. Jego chudy tułów też był nagi, miał na sobie tylko podkoszulek z grubych nici żaglowych. Otwory w podkoszulku były duże, niemal centymetrowej wielkości.

32

Świadomie zachowałem się prowokująco, ale mimo to byłem zaskoczony reakcją Karla Olofssona.

Podszedł do mnie. Oczy miał zwężone, policzki czerwone i zapuchnięte, podrapane ostrymi paznokciami.

Krew ciekła mu z prawego kącika ust i z lewego oka, ale niezbyt gwałtownie.

- Czy to było konieczne, ta historia? - zapytał.

- Prawdopodobnie - odparłem.

- Idź do diabła - zaklął.

Cienka kreska zakrzepłej krwi ciągnęła się od zewnętrznej części oka, zakreślając lekko wygiętą linię za kością policzkową. Grubsza strużka z zewnętrznej części oka biegła zarysem nosa i kończyła się na górnej wardze.

Krew w kąciku ust, rozcieńczona śliną, rozlała się w zaroście na dolnej wardze i na brodzie.

- To było jednak konieczne - powtórzyłem.

Bolały mnie szyja i grdyka. Mój głos był prawdopodobnie ochrypły i niewyraźny. Tchawica z jej delikatną i wrażliwą konstrukcją chrząstek i strun głosowych musiała zostać uszkodzona kopnięciem naszego więźnia, schwytanego przez nas młodzika.

- Idź do diabła - rzekł Karl Olofsson.

- Z pewnymi ludźmi - powiedziałem - trzeba postępować stanowczo i zdecydowanie.

- Bzdura!

- I dlatego chciałeś, żebym to właśnie ja z tobą poszedł - powtórzyłem.

- Mógłbym ci to wytłumaczyć bardziej szczegółowo - dodałem zaraz - ale boli mnie szyja i struny głosowe.

33

Przygotowaliśmy się do odejścia.

Młodzik siedział na pryczy, oparty o ścianę. Był nagi, jeśli nie brać pod uwagę spodni i rzadko plecionego siatkowego podkoszulka. Resztę jego odzieży wpakowałem do swego plecaka, a buty przywiązałem do zapięcia jednej z bocznych kieszeni plecaka. Skarpety śmierdziały potem. Na plecaku przytroczyłem cztery koce, mocno zrolowane.

Karl Olofsson położył na stole otwartą paczkę chrupkiego chleba, kawałek sera, trochę masła, puszkę sardynek.

Potem bardzo dokładnie skontrolował wnętrze chaty.

- Nie jest do pomyslenia, żeby on mógł sobie uszyć garnitur z pokrycia materacy - napomknąłem.

Karl Olofsson naturalnie nic nie odpowiedział.

Oderwał z pudełka zapalek kawałek draski i położył na puszcze sardynek.

Obok draski umieścił z dziesięć zapalek. Po krótkim zastanowieniu powiększył liczbę zapalek do piętnastu czy dwudziestu.

W izbie było dosyć ciemno, ale miałem w mojej kamerze film światłoczuły.

Zrobiłem trzy czy cztery zdjęcia naszego więźnia, jak siedzi na pryczy.

34

Nocna śnieżycą przykryła wczorajsze ślady stóp. Chmury były grube i niskie. Nie było już widać drugiego brzegu Siliesjaure.

Karl Olofsson zarzucił na plecy zarówno swój własny plecak, jak i plecak młodzika, naszego więźnia. Ja natomiast niosłem pistolet maszynowy i cztery koce zabrane z chaty.

Zeszliśmy na lód. Karl Olofsson kroczył przede mną. Obaj byliśmy bardzo zmęczeni.

Obejrzałem się przez ramię. Młodzik stał w drzwiach chaty. Robił wrażenie całkiem nagiego, mimo że miał na sobie spodnie i siatkowy podkoszulek.

Maszerowaliśmy dalej po lodzie. Śnieg był mokry i ciężki.